



29 b. Tankow, 1937



**Błażej Skaziński**

# Danków

## jako miejsce magiczne

Niewiele jest miejsc, gdzie odległe dzieje i pamiątki historyczne odcisnęły tak znaczne piętno na teraźniejszości. Takimi są najczęściej dawne majątki ziemskie z zamkami, pałacami i dworami wraz z parkami, zespołami folwarcznymi oraz towarzysząca zabudową. Do najbardziej intrygujących miejsc należy Danków koło Strzelec Krajeńskich.

O dawnych dziejach Dankowa świadczy być może stara legenda o walce Słowian z templariuszami dowodzonymi przez mistrza Friedricha von Alvenslebena. Wiarygodności należy natomiast odmówić legendzie o Karolu Wielkim, odpoczywającym pod wiekowym dębem, zachowanym do dnia dzisiejszego nad brzegiem jeziora Dankowskiego.

Najstarsza wzmianka dotycząca miejscowości pochodzi z 1303 roku i związana jest z pobytem margrabiów brandenburskich, którzy wystawili tutaj dokument lokacyjny Kalisza Pomorskiego. W 1347 roku wzmiankowano miejscowość jako fortyfikujące się miasto. Była tu wówczas siedziba Betkina von der Ostena, który podejmował margrabiego w 1348 roku. W 1352 roku dobra dankowskie otrzymał niejaki Brune Goltsmet. Z kolei w 1391 roku miasteczko i zamek otrzymał łżycki rycerz Otto von Kittlitz. W 1402 roku właścicielami Dankowa zostali Krzyżacy. W 1465 roku elektor brandenburski nadał posiadłość w lenno Borcherdowi von Papsteinowi. W tymże roku po raz ostatni określono Danków mianem miasteczka. Rodzina von Papsteinów włądała miejscowością do końca XVIII wieku. Ostatnim właścicielem dóbr ziemskich wywodzącym się z tego rodu był Jacob Christoph von Papstein. Z tym rodem związana jest legenda o ukrytych w Dankowie kosztownościach, do dzisiaj czekających na swojego odkrywcę.

Na początku XIX wieku Danków znalazł się w posiadaniu szlacheckiego rodu von Brandów. Najznamienitszym z nich był kanonik berliński Gustav Erdmann Camillus. Z jego inicjatywy wybudowano pałac, założono park oraz wzniesiono budynki folwarczne. Na skraju parku właściciel majątku zainicjował budowę mauzoleum, w którym został pochowany. Jego spadkobiercy w latach 70. XIX wieku ufundowali kościół. W 1933 roku właścicielami tutejszych dóbr ziemskich została rodzina von Alvensleben. Na początku 1945 roku zniszczono pałac, który z czasem rozebrano. Wkrótce majątek został znacjonalizowany, a miejscowość stała się niewielką wsią rolniczą i letniskową.

Do cenniejszych przekazów ikonograficznych związanych z Dankowem należą dwa rysunki wykonane w 1938 roku przez holenderskiego malarza i rysownika Anco Viboldusa, który pracował nad wydawnictwem opisującym siedziby rodu von Alvensleben. Pierwszy z widoków przedstawia miejscowość i majątek szlachecki w latach 1450-1750. Widać na nim miasteczko na planie wrzeciona obwiedzione podwójnymi wałami ziemnymi z fosą, strażnicami na sztucznie usypanych kopcach, folwark z dworem, kościół, a także ulice wyznaczone przez zabudowę. Na drugim widoku, współczesnym rysownikowi, widoczne jest założenie folwarczne z czworobocznym dziedzińcem gospodarczym, okazały pałac, założenie parkowe, kościół oraz zabudowania mieszkalne i gospodarcze wsi.

Danków został założony na półwyspie jeziora Dankowskiego, zapewne po części sztucznie usypanego, bo tworzącego regularny czworobok. Miejscowość została założona na planie wrzeciona na osi wschód-zachód z kościołem pośrodku. Po zachodniej stronie, w ramach półwyspu zlokalizowano później nowożytny dwór z ogrodem i obszernym folwarkiem.

Reliktem średniowiecznego założenia są fortyfikacje miejskie, wzmiankowane w 1347 roku. Do dnia dzisiejszego zachował się ich fragment po stronie północno-zachodniej w formie wałów z fosą zasilaną niegdyś wodami jeziornymi. Po zachodniej stronie istniała strażnica wzniesiona na tzw. Górze Wałowej, umieszczona na sztucznym nasypie ziemnym. Podobna strażnica znajdowała się też po stronie wschodniej. Fortyfikacje wzmocnione były drewnianą palisadą. Można się też domyślać istnienia drewnianych, względnie kamiennych bram miejskich. Wały i fosy od strony południowej zostały splantowane w XIX wieku ze względu na budowę drogi. Z pozostałych stron miasteczko chronione było nurtem rzeki Polki i wodami jeziora Dankowskiego.

Zapewne w połowie XIX wieku w miejscu wcześniejszego dworu wybudowany został z inicjatywy Camillusa von Branda neostylowy pałac. Rezydencja niestety nie zachowała się do dzisiejszych czasów. Budowla została zaprojektowana przez jednego z wybitnych architektów berlińskich, prawdopodobnie Eduarda Knoblaucha.

Pałac został zakomponowany na planie podkowy z otwartym od północy dziedzińcem. Była to budowla piętrowa z wejściami od strony dziedzińca folwarcznego i parku, zdobionymi przedstawieniami heraldycznymi oraz dekorowana oszczędnym detalem architektonicznym w formie opasek okiennych i gzymsów. Bryła pałacu nakryta została dachami dwuspadowymi. Niewiele wiadomo o wnętrzach pałacu, poza tym, że znajdowała się tam znaczna biblioteka i galeria malarstwa dawnych mistrzów holenderskich.

## Kościół

Kościół w Dankowie istniał już w okresie średniowiecza. Anco Wigboldus na swoim widoku lokalizuje świątynię pośrodku miejscowości. Obecny, neogotycki kościół wzniesiony został w latach 70. XIX wieku. Budowla znajduje się po wschodniej stronie Dankowa, w sąsiedztwie nasypu po dawnym gródku strażniczym. Świątynia została wzniesiona z cegły na planie prostokąta, ze strzelistą wieżą po stronie zachodniej i apsydą po stronie wschodniej. Korpus nakryty jest dachem dwuspadowym krytym łupkiem, hełm wieży jest ceramiczny. Szczyty kościoła zdobione są schodkową attyką. We wnętrzu świątyni zachowały się elementy pierwotnego wystroju, w tym prospekt organowy, żyrandole, empora zachodnia, ławki oraz tablica upamiętniająca mieszkańców wsi poległych w wojnach pruskich. Na uwagę zasługuje mosiężna, ozdobna klamka w drzwiach głównych. Identyczna występuje też w kościele w Troszynie koło Mieszkowic (1873) i w kościele w Ulimiu koło Gorzowa (1876). Ponadto w wieży znajdują się dzwony odlane w 1873 roku w szczecińskiej ludwisarni C. Vossa, co mogło się wiązać z fundacją nowej świątyni.

## Folwark

Założenie folwarczne zakomponowane zostało w okresie nowożytnym. Do dnia dzisiejszego zachowała się zabudowa, powstała za sprawą Camillusa von Branda i jego spadkobierców. Zespół folwarczny znajduje się po północnej stronie miejscowości, nad brzegiem jeziora i złożony jest z zabudowy gospodarczej i mieszkalnej (czworaki, obora, stajnia, oficyna, oranżeria) powstałej około połowy XIX wieku, formującej obszerny dziedziniec. Południowy blok zabudowy tworzy stajnia. Po stronie zachodniej znajdują się: czworak, chlewy, nad jeziorem chlew, budynek mieszkalny ze stolarnią, obora, chlewy, budynek administracyjny i zachowana w części rybakówka. Budynek pałacu wznosił się na wschód od zespołu, w obrębie parku. Oranżeria połączona jest ze stajnią koni wyjazdowych, ponad którą nadbudowano gołębnik. Obok, nieco na południe znajduje się lodownia i kotłownia. Poza dziedzińcem folwarcznym znajdują się budynki mieszkalne, położone wzdłuż dróg dojazdowych. Charakterystycznym elementem założenia są bramy wjazdowe na dziedziniec folwarczny.

## Park krajobrazowy

Park powstał w latach 30. XIX wieku. W kolejnym etapie założenie powiększono o tereny położone na wschód, wzdłuż jeziora Dankowskiego. Do dnia dzisiejszego czytelne są jego elementy, w tym ogród ozdobny, park krajobrazowy, leśny oraz ogród użytkowy.

Pierwotny ogród renesansowy powiązany był z południową elewacją dworu i stanowił w pewnym sensie kontynuację wnętrza mieszkalnych. W połowie XIX wieku wyburzono dwór, a w jego miejscu zbudowano pałac, wokół którego założono park krajobrazowy. Przy jego komponowaniu kierowano się zasadą nieregularności i asymetrii. Stosowano przy tym naturalne formy roślinne oraz kręte ścieżki, których rozwidlenia akcentowano krzewami.

Główna aleja parkowa przebiegała po linii krzywej powodując, że pałac widoczny był z różnych perspektyw. Przed południową elewacją pałacu, w miejscu ogrodu, zamieniono parter ozdobny na trawiasty gazon z kulisami na który składały się buki, lipy, klony wiązy i dęby. Część drzew jest jednak starsza niż założenie parku krajobrazowego. Obok pałacu nasadzono egzemplarze żywotnika zachodniego, cyprysu i cisu.

Granice południowo-wschodnią tej części parku stanowi rzeka Polka. Od strony zachodniej do założenia przylega ogród, następnie neogotycki kościół oraz średnio-wieczny nasyp ziemny wykorzystywany później jako punkt widokowy. Pałac z kościołem skomunikowano aleją. Prowadziła ona następnie przez mostek na Polce i dalej wzdłuż brzegu jeziora. Na tej przestrzeni, czytelne są zabiegi polegające na uzupełnieniu naturalnego drzewostanu bukami, jesionami i lipami. Aleja otwiera się na polanę, za którą rozpościera się naturalny las. Obok, wśród drzew znajduje się neogotyckie mauzoleum.

Na zachód od miejsca po dawnym pałacu położony jest folwark. W jego obrębie mieścił się ogród użytkowy, w którego skład wchodził ogród warzywny i sad. Od strony ulicy i kościoła ogród otoczony został ceglany murem, a od strony parku drewnianym parkanem z ceglanyimi słupami. Obok kościoła znajdował się dom ogrodnika. W ogrodzie zbudowano szklarnie. Rośliny egzotyczne umieszczano latem przy pałacu, zimą przechowywano w oranżerii, której część urządzone jako ogród zimowy.

Mauzoleum wzniesiono w stylu neogotyckim w latach 50. XIX wieku w ramach założenia parkowego. Jest to budowla złożona z dwóch elementów. Reprezentacyjny charakter posiada czworoboczny narteks, pierwotnie nakryty sklepieniem ceramicznym, z dwuskrzydłowymi drzwiami prowadzącymi do wnętrza, ponad którymi umieszczono piaskowcową rozetę. W głębi mieści się pomieszczenie z dwupoziomowymi niszami, ukryte w nasypie ziemnym. Zainicjowanie budowy mauzoleum należy przypisać właścicielowi Dankowa, kanonikowi Camillusowi von Brandowi, zmarłemu w 1857 roku. Potwierdzeniem tego może być data umieszczona na elemencie konstrukcyjnym „1859”.

Zachowana do dzisiejszych czasów najstarsza zabudowa Dankowa pochodzi z lat 40. XIX wieku. Przeważają budowle murowane z cegły ceramicznej, parterowe, nakryte dachami dwuspadowymi, niekiedy z naczółkami, charakteryzujące się rytmiczną i symetryczną kompozycją elewacji. Do rzadkości należy już budownictwo ryglowe. Nieliczne istniejące budowle wzniesione w tej konstrukcji zostały częściowo przemurowane, względnie pokryte w elewacjach wyprawami tynkarskimi. Do budowli użyteczności publicznej zaliczyć należy budynek szkoły z końca XIX wieku, przebudowany w latach 30. XX wieku. Natomiast w południowo-wschodniej części miejscowości znajduje się trafostacja, wzniesiona w związku z elektryfikacją miejscowości jaka miała miejsce około 1940 roku.

## Literatura

Z. Linkowski, Układ przestrzenny Dankowa, Strzeleckie Zeszyty Historyczne Nr 1, Zeszyt Dankowski, Strzelce Krajeńskie 2010, s. 61-68; ; E. Linkowska-Tudor, Park pałacowy w Dankowie; Strzeleckie Zeszyty Historyczne Nr 1, Zeszyt Dankowski, Strzelce Krajeńskie 2010, s. 83-90; E. Rymar, Danków na przestrzeni dziejów, Strzelce Krajeńskie 2009; E. Rymar, Strzelce (Krajeńskie) na przestrzeni wieków (do 1945 roku), Strzelce Krajeńskie 2011; B. Skaziński, Zabytki Gminy Strzelce Krajeńskie, Strzelce Krajeńskie 2010.



**Genius loci  
czyli  
Nie należy  
lekceważyć  
szczegółów.**



**Piotr Chojnacki**

We współczesnej cywilizacji obrazkowej powszechne stało się fotografowanie miejsca, w którym człowiek przebywa. To fotografowanie stało się ekwiwalentem poznania i komunikowania.

Rozwój technologii wyposażył człowieka w narzędzia, z którymi praktycznie się nie rozstaje, a które pełnią rolę kolejnych zmysłów. Przeświadczenie o ich przewadze nad tym co jesteśmy w stanie zobaczyć, usłyszeć, czy też dotknąć wynika z tego, że narzędzia te umożliwiają zobaczenie tego, czego gołym okiem nie dostrzeżemy z uwagi na znikomą wielkość, oddalenie, zbyt małą lub zbyt dużą ilość światła czy też wreszcie problem szybkości lub powolności przebiegania zmiennych procesów. Za przykład może posłużyć znany z historii fotografii, a rozpracowany przez Edwarda Maebridge'a dylemat w jaki sposób pędzący koń dotyka ziemi kopytami. Obecnie doszło do tego, że praktycznie każdy, kto ma na to ochotę, wysyła kamerę w „kosmos” lub pod powierzchnię wody po to, by spojrzeć na świat np. z tzw. „lotu ptaka”. Tym samym realizuje się odwieczne, wydawałoby się, niespełnialne marzenie człowieka - stworzenie w codziennym doświadczeniu połączenia rzeczywistości ziemskiej z rzeczywistością kosmiczną.

Ale takie możliwości technologiczne spowodowały, że poznanie zostaje zastąpione, a właściwie ogranicza się wyłącznie do rejestrowania. Dotychczas mówiono, że ktoś wybiera się, by coś gdzieś zobaczyć lub poznać. Obecnie w takiej sytuacji coraz częściej można usłyszeć, że wybiera się po to by „cyknąć fotkę”.

Posłużę się tu jeszcze innym przykładem sytuacji - kolizji lub stłuczki na autostradzie. Kiedyś wszyscy zwalniali, by się napatrzeć, a obecnie po to by fotografować. Zresztą to rejestrowanie coraz częściej odbywa się w sposób permanentny poza wolą użytkownika, poprzez kamerę zainstalowaną na stałe rejestrującą całą podróż samochodem, rowem, pieszą wycieczką lub wspinaczkę w skałach.

Ostatnio po całodziennym wycieczce wracałem autobusem z Palenicy Białczańskiej do Zakopanego. Autobus był zatłoczony, na zewnątrz było już ciemno, stałem nad człowiekiem, który tak jak ja wracał z wycieczki i przeglądał całodzienny „plon fotograficzny” na swoim telefonie. Trudno było uniknąć spojrzenia w kierunku intensywnie świecącego ekranu. Tak więc prześledziłem szczegółowo całą trasę jego wycieczki. Wykonał tego dnia ponad sto zdjęć, niektóre z nich wyrzucił do kosza, inne przekadrował, a jeszcze inne skorygował pod względem tonalności i balansu bieli za pomocą prostej aplikacji do edycji obrazu. Sprawność, z jaką to robił, wskazuje, że była to codzienna praktyka kończąca wycieczkę w danym dniu. Parę dni pobytu, ponad tysiąc obrazów. Jaki będzie ich dalszy los, czy będą zapełniały kolejny dysk lub wegetowały w wirtualnej rzeczywistości? Pamiętam jako koszmar sytuację, w której znajomi z wielkim entuzjazmem katowali mnie przez dwie godziny kilkoma tysiącami fotografii z ich podróży z dziećmi po Europie. Większość z tych fotografii była wykonana na kempingach.

W wielu miejscach na świecie na szlakach i trasach turystycznych są umieszczone tabliczki informujące, że w tym miejscu należy wykonać fotografię. Ludzie przyjeżdżają, wysiadają z samochodów, wykonują zdjęcia i jadą dalej. Czasami nawet nie wysiadają.

Na czym polega ich poznanie miejsca, w którym się znaleźli?

Na wykonaniu i przywiezieniu do domu obrazów często kiepskiej jakości „bo coś mi zaślaniało” albo była „nieodpowiednia pogoda”. Ale przecież takie same obrazy, często o nieporównywalnie lepszej jakości, można łatwo znaleźć w wirtualnych zasobach internetowych i to praktycznie w nieskończonej ilości.



**Czy takie  
poznawanie miejsc,  
powszechnie  
obecnie praktykowane,  
ma sens  
i czy prowadzi  
do zrozumienia miejsca?**

**Czy fotografia  
jest właściwym narzędziem  
poznania  
i zrozumienia miejsca?**

Parę lat temu schodziłem szlakiem z Czarnego Stawu pod Rysami i gdy dochodziłem do brzegu Morskiego Oka osoby, które właśnie fotografowały się na tle otoczenia, zapytały mnie: „co tam jest u góry, czy tam warto iść”?

„Zdecydowanie nie warto. Tam jest to samo, co tutaj” odpowiedziałem.

Bardzo często tak się dzieje, że aparat fotograficzny skutecznie oddziela nas od miejsca, na które go kierujemy. Uniemożliwia przeżycie i zrozumienie, tworząc dystans niemożliwy do pokonania.

Co roku organizuję plener dla studentów i absolwentów prowadzonej przeze mnie Pracowni Fotograficznej. Na tych plenerach nikt nie fotografuje – w pewnym sensie taka jest niepisana umowa. Plenery te nastawione są na poznanie i doświadczenie, a refleksja ma przyjść później i ukształtować wrażliwość, ma też skłonić do wnikliwego przestudiowania historii i różnych kontekstów kulturowych. Takie podejście ma związek z moimi doświadczeniami. Jednym z przykładów może być mój trzykrotny pobyt w Beskidzie Niskim ponad 40 lat temu. Niewiele pamiętam, kilka szczegółów i wręcz mistyczną pustkę po masowym wysiedleniu społeczności łemkowskiej. Będąc ponownie kilka lat temu, odnajduję częściowo zavalone piwniczki, kamienne krzyże prawosławne, chyże (drewniane domy) i cerkwie, mam pewność, że tamte pobyty ukształtowały moją wrażliwość. W moich późniejszych projektach fotograficznych dostrzegam motywy nawiązujące do tamtych doświadczeń. Stało się dla mnie jasne, że doświadczenia bardzo mocno ukształtowały wrażliwość.

W książce pt. „Miejsca, strony, okolice. Przyczynek do fenomenologii przestrzeni.” Hanna Buczyńska – Garewicz przywołuje postać Prousta i jego rozumienie pojęcia miejsca. Otóż „Proust w młodości poświęcił wiele czasu na studiowanie i bezpośrednie poznawanie miejsc, a w późniejszej narracji powieściowej posłużył się obrazami przekazującymi bezpośrednie żywe doznania miejsc przez opisy nastrojów Narratora”. „Wiedza historyczna i bezpośrednia naoczność wiążą się w jego doświadczeniu w jedną całość, a jako dwa różne aspekty tego samego bycia (...) także określają się wzajemnie.”

Niezwykle ważne jest uświadomienie sobie i ciągle przypominanie kluczowego dla zrozumienia fenomenu widzenia cytatu z listu J.W. Goethego do F. Müllera z 1819 roku, że „widzimy tyle, ile wiemy”. Ta prawda tłumaczy, dlaczego tak wielu ludziom wystarcza ograniczenie się do „cyknięcia fotki”.

Przywołany wcześniej Proust w tekście o śmierci katedr zwraca uwagę na to, że doświadczenie katedry jako miejsca nie może polegać tylko na zobaczeniu jej materialnego kształtu. Pełne rozumienie katedry jako miejsca może dopiero dać doświadczenie jej funkcji religijnej jako „żywego miejsca ducha”. W tym miejscu pozwolę sobie na dygresję. Tak się złożyło, chyba nieprzypadkowo, że pisząc ten fragment tekstu słuchałem chorału gregoriańskiego nagranych w Tynieckim Opactwie Benedyktynów.

W takim kontekście równoczesnego poznania duchowego, jak i przy pomocy percepcji zmysłowej, sięganie po fotografię w procesie rozumienia miejsca jest jak najbardziej zasadne. Fotografia bowiem jest przynależna do technik obrazowania, które nazywamy mechanicznymi, ale ma również cechę, którą najlepiej oddaje pojęcie *acheiropoietos*, czyli że jest to obraz nie-ręką-ludzką wykonany. Kamera dokonuje wypreparowania obrazu, który niesiony przez światło istnieje bez względu na to, czy kamera jest obecna. Można więc powiedzieć, że fotografia łączy kartezjański perspektywizm, czyli przyporządkowanie świata opisowi geometryczno-matematycznemu z koncepcjami metafizycznymi.

Gaston Bachelard w eseju o miniaturze, zwraca uwagę na coś bardzo oczywistego, że dotarcie do tego, co ledwie widoczne, wymaga lupy. Bachelard pisze: „Lupa botanika pozwala odzyskać dzieciństwo. Przywraca powiększające wszystko spojrzenie dziecka. Tak więc to co małe jest wąską bramą otwierającą cały świat”. W tym mikrobiologicznym spojrzeniu Bachelarda jeszcze jeden czynnik jest bardzo istotny, jest nim czas, który zostaje zatrzymany lub zaczyna podlegać jakby innym prawom. Czasowość sprowadza się do pojęcia chwili, która nie ma ograniczeń, może w zegarowym rozumieniu czasu trwać od ułamków sekund do wieczności. Merleau-Ponty zwraca uwagę na to, iż ciało „tworzy czas zamiast go doznawać” tak jakby doznawanie czasu było powiązane z poczuciem cielesności. A Walter Benjamin to doznanie chwili nazywa aurą.

Bardzo ważny aspekt czasowości porusza również Nietzsche zwracając uwagę na to, że „chwila zawiera w sobie całość, odsyłając do wieczności”, a perspektywa wieczności od zawsze była i jest kluczowa w refleksji i poszukiwaniach człowieka.

Jeśli mówimy o poznaniu i rozumieniu miejsca w kontekście ducha miejsca lub aury to nie sposób nie wspomnieć o pojęciu *genius loci*. Pozwolę sobie na przypomnienie trochę zapomnianego znaczenia jako ducha opiekuńczego, a dokładniej strażnika miejsca. Był on często przedstawiany w postaci węża. Biblijny obraz wygnania z raju jednocześnie łączy i dzieli aksjologicznie anioła i węża. Stają się oni strażnikami szczęśliwego utraczonego raju, w którym panowała pierwotna harmonia między człowiekiem i przyrodą. Podwójna natura i dwuznaczna rola tego ducha miejsca została zapomniana i pominięta we współczesnych koncepcjach *genius loci*, a szkoda, bo niesie w sobie niebezpieczną ambiwalencję, bardzo cenną w procesie rozumienia miejsca.

Patrzmy na fotografii - czy poznajemy miejsca czy je rozumiemy?

Bartes podkreślał: „fotografia pozostaje zawsze niewidzialna: to nie ją widzimy”.

PS Roman Brandstaetter w „bardzo krótkich opowieściach”, które niezwykle celnie dotykają również istoty poznania i rozumienia miejsc, zamieścił opowiadanie „Nie należy lekceważyć szczegółów”.

# Inspiruje czy straszy?

Genius loci - jak się objawia, komu służy? Większość ludzi i zwierząt ogląda krajobraz "krowim okiem". Pastwisko pod lasem, nad jeziorem, oceniane jest głównie pod kątem zasobności w pokarm. I to im wystarcza, są odporni na przeżycia estetyczne. Surowa ocena? Być może. Łagodzi ją obecność w społeczeństwie wrażliwców, pożytecznych, aczkolwiek niedocenianych przez ogół. Propagują oni głębszą interpretację przestrzeni życiowej. Są wśród nich literaci, malarze, fotograficy, architekci, a także kompozytorzy - ludzie najbardziej podatni na oddziaływanie "genius loci". Wrażliwcy ci z reguły są zakorzenieni w epoce romantyzmu.



**Zdzisław Linkowski**

Czym bylibyśmy dziś gdyby nie Mickiewicz, którego próbuje się wykluczyć z lektur szkolnych. A propos! Jako bardzo młody człowiek dziwiłem się, dlaczego uniwersytet w Poznaniu nazwano jego imieniem, bo przecież On z Litwy. Z biegiem lat życia i nauki zrozumiałem, że ta decyzja Wielkopolan była niezwykle trafna. Przecież Wielkopolska ze swym krajobrazem, uمیłowaniem polskości była inspiracją dla mickiewiczowskich opisów przyrody i obyczaju, choćby tych opisanych w "Panu Tadeuszu". Piękny język, odsłania ducha, pod którego jest wpływem. Adam Mickiewicz podróż po Wielkopolsce zawdzięcza swojemu przyjacielowi Stefanowi Garczyńskiemu, również poecie, zapatrzonemu w mistrza.

Rodzina Garczyńskich rozproszona była po całej Wielkopolsce, ale gniazdem rodzinnym był Zbąszyń nad Obrą, na zachodniej rubieży Rzeczypospolitej. Garczyński spokrewniony był z rodziną Skórzewskich z Lubostronia, dokąd zawiózł Mickiewicza na zaproszenie swej ciotki. Stamtąd odbyli razem podróż po Wielkopolsce, odwiedzając gościnne polskie dwory.

Tutaj na kresach Wielkopolski, na jej pograniczu z Pomorzem i Brandenburgią, doświadczamy podobnych inspiracji duchowych, co wymienieni wyżej poeci. Żyjemy w tym samym krajobrazie, w symbiozie z nim. Jesteśmy pod wpływem jego ducha. Krajobraz ten jest jeszcze przez nas nieuświadomiony. Przyczyną jest krótkowzroczność spowodowana urazami pod wpływem zaborów i II wojny światowej, z którymi kojarzy się dominacja niemiecka. Nie zdajemy sobie często sprawy z tego, że przez stulecia przenikanie kulturowe w tym regionie dokonywało się bez wojen.

Pokolenie, które doświadczyło wojny, a także następne pokolenia wychowane w pamięci o tej wojnie, cechuje w dużej mierze niechęć do spuścizny po poprzednich mieszkańcach, po których dziedziczymy świadectwa historyczne w postaci kościołów, dworów, pałaców czy parków. Najmniej ucierpiały świątynie, bo ciągle są potrzebne. Gorzej jest z architekturą świecką. Przykładem niech będzie Danków. Kościół z połowy XIX wieku stoi w niezłej kondycji. Natomiast pałac spalony przez Rosjan, rozebrany został na cegłę przez polskich mieszkańców. W szczególnej sytuacji znalazło się mauzoleum rodziny von Brand, rzadki przykład tego typu architektury. Przez wiele lat nikt się nie przyznawał, że jest właścicielem obiektu, ani administracja lasów, ani gmina. Wręcz bojkotowano próby ratowania budowli.

Istniejące w Polsce prawo dotyczące ochrony pamiątek przeszłości też nie działa lub działa wybiórczo. W trudnej sytuacji znalazły się dwory i XIX-wieczne folwarki, które po upadku państwowych gospodarstw rolnych popadły w ruinę. Do nielicznych wyjątków zaliczyć możemy pałac w Renicach, zespół pałacowo-folwarczny w Mierzęcinie.

Martwi nas destrukcja, zacieranie i zakłamywanie przeszłości w imię jakiś partykularnych wizji na przyszłość. Martwi nas niezrozumienie związków z cywilizacją łacińską, pogarda dla tego, co inne niż polskie, nieznajomość przenikania kultur. Smuci nas także lekceważenie wzorców, np. architektonicznych, sztuki zakładania ogrodów, a także braku powiązania gospodarki rolnej i leśnej z działaniami na rzecz ochrony krajobrazu i dziedzictwa europejskiego. W ślad za tym idzie wulgaryzacja współczesnego krajobrazu. Co dalej?

Mamy do dyspozycji prawo i instytucje powołane do ochrony dziedzictwa narodowego i europejskiego. Niestety są niewydolne, nieadekwatne do rzeczywistości. Brakuje nie tylko pieniędzy na ochronę, ale także wyobraźni politycznej. Uboga kadra, którą zbiurokratyzowano do tego stopnia, że nie może przebić się do sedna idei jej powołania.

Wreszcie edukacja, dokąd zmierza, skoro nawet Mickiewicz nie może przemawiać do wyobraźni naszych następców.

Genius loci chce inspirować, a nie tylko straszyć w ruinach.

# Po-pałace w kolodionie

Widzieliśmy, jak umiera dostojeństwo.  
To śmierć o różnych twarzach.

Reprezentacyjny gmach – jego ściany rozczłonkowane i rozgrabione po to, by bluźnierczo scalić je później w podpory dachu stodoły. Okazała rezydencja – niegdyśjsze drzwi do alkowy kryją teraz zazdrośnie tajemnice drewna w składziku. Pozostało miejsce. Bujnie zarośnięta przestrzeń daje wyobraźni jedynie nikłe impulsy do tworzenia mglistych zarysów dawnych kształtów.

Gdzie indziej przetrwało tylko jedno ze skrzydeł pałacu. Niewielka jego część. Jak amputowana kończyna bez prawa do reprezentowania reszty ciała. Wokół szyderczo trwają poślednie byty. Pełniące niegdyś służebną rolę stajnie i chlewy dziś drwiąco otaczają popałacową pustkę ze sterczącym kikutek skrzydła.

Inne miały więcej szczęścia. Istnieją. Na pewno? Wystarczy sama bryła gmachu pamiętająca czasy dawnej świetności? Arystotelesowska materia bez formy. Czy to jeszcze pałac, gdy w jego wnętrzach z roli żyjący ludzie egzystują w ciasnych mieszkaniach wydzielonych z sali balowej, pokoju pana, holu? Czy to jeszcze pałac, gdy odarte ze wszelkich znamion luksusu wnętrza są świadkami dramatów resocjalizowanej młodzieży? Czy to jeszcze pałac, gdy więźniarki kulą się pod uderzeniami pałki strażnika? I w końcu, czy to ciągle pałac, gdy straszy pustką swych trzewi?

**Zobaczyć,  
doznać,  
poczuć.**



**Krzysztof Grygiel**

## Wejść!

Drzwi nie otwierają się, więc przez małe uchylone okienko w czarnej toń piwnicy. Krok w niewiadomą. Odkrywanie tajemnicy od najmroczniejszych zakamarków, od dna. Światło latarki niechętnie odsłania tajemnice. Puste ściany przebite gdzieś zardzewiałą rurą pompującą kiedyś wodę. Jakiś magazyn, spiżarnia? I schody na górę. Tu jaśniej. Wzdłuż splekanych strupów lamperii korytarza do klatki schodowej. Wzorzyste okna w drzwiach wpuszczają słoneczne smugi. Rozchodzimy się. Każdy kontempluje przestrzeń. Obserwacja. Mijamy się. Słów niewiele. Atmosfera niemal nabożna. Przy tym ekscytacja. Fascynacja, ale i smutek. Podziw wyrosły z wrażliwości i wyobraźni.

Uwiecznić obraz. Uwiecznić emocje. Magia kolodionowej fotografii doskonale harmonizuje z niezwykłością miejsca. Światło zdaje się być świadome swej roli, z ogromnym wyczuciem pobudzając halogenki srebra do zachowania tego wyjątkowego klimatu. Głębokie cienie i plamy światła odsłaniające kolejne plany tworzą głębię nie tylko plastyczną, ale też metafizyczną. Ciemność skrywa rzeczywistość, ustępując miejsca bytom wymagowanym, implikowanym zasłyszczanymi opowieściami.

W jednym z pomieszczeń zdobiony sufit. Zaskakująco różowe ściany. Duże okna w znacznym stopniu zasłonięte. Po przeciwnej stronie jama po kominku, który dawniej, emanując blaskiem i ciepłem, towarzyszył życiu mieszkańców. Dzisiaj ściana ze swej głębi tchnie martwym chłodem. Podłoga drewniana. Każdy krok to jęk deski pod stopą. Bliżko przy ścianie, bo na środku podłogi wielka dziura. Gdzie indziej nad głową w suficie także otwór. O strzępiastych krawędziach. Czarna plama wyrwy wciąga wzrok w czeluść strychu.

I drzwi. Półzamknięte. Pokryte sterczącymi łuskami farby. Zwijające się płyty odsłaniają poprzednie życia. Ile warstw, ile przeszłości... Pierwsza powłoka pamięta zapewne rodzinę Klaffke, kolejna czasy więzienia dla kobiet, ostatnia zarządzanie przez Kombinat Rolny. Plączą się rzeczywistości różnych okresów. Determinują powstawanie fantazmatów, migawek arealnych reminiscencji. Na balu rodziny Fleischerów tańczą więźniarki. Wizje mieszają się, tworząc ponury splot losów ludzi i pałacu.

Te drzwi-świadkowie. Muszą znaleźć się na mokrej płycie. Ale sama ich rejestracja to za mało. Więc z mroku wyłania się dłoń, muskając chropowatą fakturę. Znak, symbol, niepokój. Teraz czujemy pełnię obrazu.

Nagle stajemy w progu sali, której róż ścian kolejny raz zadziwia. W niej nad głową sztukateria, kasetony w jaskrawych turkusach, różach i zieleniach, nad kiedyś-lampą pstrokata rozeta. Żaloszny przejaw amatorskiej próby renowacji. Kiczowate barwy jak chichot losu, kpina ze szlachetnej proveniencji miejsca i jego pierwszych mieszkańców. Co miało zdobić, szpeci. Co miało być wytworne, wykwentne, stało się krzykliwie tandetne.

Obcowanie z architekturą pałacową nie ogranicza się do oglądania. To doświadczenie, przeżywanie, refleksja. To skrajne emocje – zachwyty znamionami dawnej świetności, ale też żal nad powojennymi spustoszeniami, złość, że tak wiele zaniedbano, poczucie bezsilności. Wielorakość doznawania znalazła swoje odzwierciedlenie w różnorodności realizacji fotograficznych. Od dokumentowania zastanej rzeczywistości, przez próby uchwycenia klimatu, ukazywanie kontekstów, swoisty komentarz, po kreację i szukanie skojarzeń. Jednak bez względu na sposób wyrazu przebija z fotografii wspólna myśl: pałac jest bytem zadziwiającym. Immanentną jego cechą zdaje się być wyjątkowość. Póki istnieje fizycznie, póty nieodparcie wywołuje szacunek. Wzbudza zaciekawienie oraz podziw. Niezależnie czy zachwyca odmalowaną elewacją i odrestaurowanymi wnętrzami, czy przytłacza pustymi oczodołami okien i zapadniętymi stropami. To twór wyjątkowy i wyjątkowo powinien być traktowany.

**Pałac**

Gdzieś rosną nowe zamki-hotele.  
Strzeliste wieże, w purpurze ściany.  
Splendor pozłocień mają fotele.  
Ogród zadbany.

Tu zaś wolimi oczami łypie  
Dach mansardowy, co mchem się pokrył.  
Zwieńcza ruinę, która się sypie.  
I jam ją odkrył.

Zdobne pilastry dźwigać się zdają  
Dachówek łuski wyblakłe w słońcu.  
Drzewa, co parkiem były, gadają  
O bliskim końcu.

Masywna bryła okaleczona  
Historii ostrzem, z blasku odarta.  
Lecz nadal stoi, niezwyciężona,  
Bo nie jest martwa.

Imaginacji wspierany tchnieniem  
Powiew przeszłości ożywia mury.  
Nie są już tylko marnym wspomnieniem  
Dawnej kultury.

Wbija się w niebo grotem fasady  
Symbol świetności architektury.  
Z rumieńcem wstydu skrywa powaby...  
Pałac Kultury.



**namieć**



**Ewelina Wanke**

O, tu jest mój dom. Najpierw przez bramę, potem ścieżką prosto, dookoła domu, na lewo. Wejście od podwórza do ganku. W ganku szafa. Duża. Drewniana. Ciężka. Dekorowana. Przed szafą, pod krzesłem buty ojca. W tygodniu uwalane błotem po pracy w polu i w lesie. A w sobotę wieczorem polerowane, błyszczące czarną skórą. Takie na grubej podeszwie. Ze stukającymi obcasami. Kiedy wracał wieczorem obstukiwał je o schodek do ganku, siadał na krześle i je zdejmował. Rozmasowywał stopy i wołał: „Jestem! Co dziś do jedzenia!”

W szafie wiszą palta. Ojca, mamy, takie z lisim kołnierzem, eleganckie, moje i brata. Moje było przed kolanko. Rozszerzane do dołu. Ciemnozielone. Śliczne. Tylko stójka trochę gryzła. I jeszcze parasol był w szafie. Biały, koronkowy, od słońca. Sama elegancja... Jak ja z nim latem po ulicy paradowałam... Nikt takiego nie miał! Jak dama jakaś. A mój brat miał marynarski kapelusz. Taka była moda. Marynarska koszula z wielkim kołnierzem, krótkie spodnie, białe podkolanówki i kapelusz. Tak się chłopaki nosili do kościoła.

Od podwórza kuchnia. Duża, przestronna, z wielkim dębowym stołem. Takim ciężkim, stabilnym, nie dało się go ruszyć! Czyściło się go codziennie wieczorem taką drucianą szczotką. Rano siadał przy nim ojciec, jadł chleb z dżemem truskawkowym i pił kawę. Siedem łyżeczek cukru. A po szkole odrabialiśmy przy nim lekcje i czytałam mamie z biblii. Odpytywała mnie, kiedy gotowała. Na wsi jest zawsze dużo roboty. Zawsze coś się tam znajdzie. Nie ma nudy. A to trzeba zwierząt dopatrzeć, a to z ziarnem do młyna jechać, a to fasolę zebrać i wysuszyć a latem przetwory zrobić. Wszystko się w kuchni robiło, tam było całe życie. Tylko chleba mama w kuchni nie piekła. Piec chlebowy mieliśmy w letniej kuchni, na podwórzu. I to nam chyba dom uratowało od zniszczenia. Bo myśmy wtedy zimą uciekli, jak się sowioci zbliżali. A jak wróciliśmy, to było w maju, to w naszej letniej kuchni była urządzona piekarnia. Tam musiał jakiś ruski piekarz dla ich armii chleb wypiekać. Całe zapasy mąki nam zużyli. A jaki bałagan zostawili, nie do opisania. Ale dom stał! Jak myśmy się wtedy cieszyli... A w kuchni, w domu, to stała kuchenka do gotowania z małym piekarnikiem. Taka na drewno, bo u nas gazu nie było. Ale elegancka, wyglądała zupełnie jak gazowa. Na czterech żelaznych, rzeźbionych nóżkach. A koło kuchenki stał zydelek babci. Jak ona na nim siadała? Nie wiem... Sama jestem stara. Nie dałabym rady, taki był niski. Ale jak dobrze pomyślę, to ona wcale nie była aż taka stara. Tylko mnie się tak może wydawało...

Na tym stole i na parapecie mama stawiała ciasto do wystudzenia. Jak postawiła na parapecie, to mój brat je skubał. Stawiał sobie pod oknem pieniek, wspinał się na niego i wyskubywał kruszonkę. A mama, jak go przyłapała, to go goniła ze ścierką. Szybki był, uciekał, więc mało co dostał. Jej to chyba nawet nie o tę kruszonkę chodziło, tylko o te kwiatki, co je przy okazji tratował. Bo pod oknem rosła maciejka. Jak ona pachniała... Mój pokój był nad kuchnią. Pachniał i ciastem, i maciejką. Miałam tam jak u pana Boga za piecem... Zimą ciepłutko, tata dokładał mi do kaflowego pieca, latem pachnąco... Łóżko miałam białe, metalowe, ze skrzypiącymi sprężynami i grubym materacem. Na dzień się je zakrywało białą narzutą. Na łóżku siedziała moja lalka. Śliczna, duża, umiała zamykać i otwierać oczy. Mój brat zabrał ją raz do fryzjera. Nie do prawdziwego. Wziął nożyce krawieckie babci, bo moja babcia miała maszynę do szycia i szyla dla nas co potrzeba, a to ubrania, a to pościel, a to coś trzeba było naprawić, to ona sama to wszystko robiła. I on wziął te nożyce i obciął mojej lalce, Uschi miała na imię, jej piękne warkocze. Krzywo. Na krótko. Boże, jak ja płakałam... A on za to nawet lania nie dostał. Mama zabrała Uschi do „lekarza dla lalek”. Jak wróciła, znowu miała długie włosy, tylko już nie ciemne, blond. I nowe ubrania. Na noc sadzałam ją na nocnym stoliku koło łóżka.

Pokój mojego brata był zaraz koło mojego. A na dole, w małym pokoiku zaraz koło kuchni, mieszkała babcia. W pokoju miała wysokie drewniane łóżko, szafę i maszynę do szycia. Taką na pedał, bez prądu, chociaż w domu elektryczność była. Sypialnia rodziców była większa niż pokój babci — okna wychodziły na ulicę. Łóżko mieli duże, drewniane, a właściwie dwa ze sobą zsunięte. Mama rano drapowała na nich grube pierzyny, przykrywała je szydełkową kapą i kładła na nich grube poduszki. Kiedyś byliśmy sami w domu i brat powiedział, że zabierze mnie na statek piratów i popłyniemy na bezludną wyspę szukać skarbów. Ten statek to było łóżko rodziców, a wyspę zrobił na podłodze z poduszek. Wyspa wcale nie była bezludna, bo jak do niej dopłynęliśmy, to porwali mnie tubylcy i przywiązali do drzewa, czyli do krzesła, żeby mnie ugotować na kolację. Kiedy tubylcy, a właściwie jeden tubylec tańczył dookoła mnie skacząc po poduszkach, nagle w drzwiach stanęła mama. I znowu ścierka poszła w ruch i tubylec musiał uciekać. Mama za nim: „Niech no tylko ojciec wróci!” A ja tak siedziałam przywiązana do krzesła i płakałam, bo się bałam co się stanie, jak ojciec wróci... Nic się nie stało. Tylko się śmiał... A mama się złościła, że nic z nas nie wyrośnie...

Tam w pokoju rodziców też stała wielka szafa. Trzydrzwiowa. Pod pościelą mama chowała słodycze. A mój brat je podkrażał, jak nikt nie patrzył. Mama go nigdy nie przyłapała, ostrożny był. Ale przecież widziała, że słodycze znikają. Tylko, że on się zapierał, że to nie on. A że tata też słodycze bardzo lubił, to mama nigdy nie mogła udowodnić, kto je podbierał. Tylko tata znał prawdę, czasem puszczał oczko i dokładał coś od siebie. Na przykład, jeśli świadectwo dobrze wypadło. Nad łóżkiem rodziców wisało ich zdjęcie ślubne. Wielkie jak obraz. Oprawne w ramy. Tacy byli na nim młodzi, ale strasznie poważni. Ani trochę się nie uśmiechali. Jakby byli smutni. Jak nie oni.

Na dole był jeszcze jeden duży pokój. Mówiło się na niego „gute Stube”. To był taki pokój odświętny. Z najlepszymi meblami, z grubym dywanem na podłodze i firanami długimi do samej ziemi. W kredensie stały porcelanowe filiżanki, cała zastawa. Nigdy ich nie używaliśmy, tylko od święta. Zresztą do tego pokoju nie wolno było wchodzić. Mama sprzątała go raz na tydzień, a dla nas drzwi otwierały się tylko na święta. W wigilię, po powrocie z kościoła szliśmy umyć ręce, a mama zapalała świece na choince. Myśmy stali pod drzwiami i czekaliśmy, aż je dla nas otworzy. Ale były nerwy... Potem wchodziliśmy do rozświetlonego świecami pokoju. A tam była ona — wielka pod sam sufit choinka z ozdobami ze słomy, złotymi orzechami i małą jabłkami. A na stoliku obok choinki prezenty...

W tym pokoju na ścianach wisały zdjęcia — dziadków, rodziców i ich rodzeństwa. Pamiętam dobrze zdjęcie dziadka w mundurze, jeszcze z pierwszej wojny i stryja w mundurze Wehrmachtu. Jak uciekaliśmy, wtedy, zimą, to mama zdjęła te dwa zdjęcia ze ściany i je spaliła. Chociaż to było jedyne zdjęcie jej brata. Zginął na froncie wschodnim. Tak sobie teraz myślę, że bardzo musiało jej być ciężko tak się pożegnać z bratem, wiedząc, że już nigdy go nie zobaczy. Ale bała się, że jak przyjdą sowioci i to zdjęcie znajdą, to podpala dom, albo nam coś zrobią. Słyszało się różne historie. Ramki schowała do kredensu, szkoda było je wyrzucić. Ale na ścianie zostały białe plamy. Więc mama przyniosła obraz z pokoju babci. Taki z aniołem, co przytula dzieci. I powiesiła na tej ścianie, żeby zakryć plamy. Jak wróciliśmy, nie było ani obrazu, ani ramek, ani kredensu. Ale dom stał. I stołu z kuchni też im się nie udało zabrać. Nam też nie. Zostaliśmy tam jakiś miesiąc, może dwa. A potem przyszedł rozkaz, że mamy wyjeżdżać do Niemiec. Bo tu teraz jest Polska.

Pamięć jest ulotna i nad wyraz łatwo daje się manipulować. Wpływa na nią światło, dźwięki, kolory, zapachy, późniejsze przeżycia, opowieści rodziny i znajomych, wreszcie manipuluje nią wiedza — ta popularna, zaczerpnięta z kina i książek, jak i historyczna. Pamięć o utraconym domu, jest pamięcią o utraconym dzieciństwie, o ludziach, którzy go tworzyli, o tajemnicach — tych odkrytych i tych, które nigdy nie zostały wyjaśnione. Pamięć o domu rodzi się z tęsknoty za poczuciem bezpieczeństwa, za pewnością znanego przebiegu dnia, za czułymi ramionami rodziców. Jest wypadkową zabaw w jego zakamarkach, podsłuchanych rozmów, wyobraźni i lęków, nawiedzających dziecięcą fantazję nocą. Składa się w tej samej mierze z obrazów, co i dźwięków czy zapachów. Własnych, jak i cudzych.

Czy da się opowiedzieć dom? Na pewno tak, lecz nigdy nie będzie to opowieść obiektywna. Dom widziany oczami dziecka jest inny niż ten sam, opisywany przez człowieka, który go budował. Ten sam dom w pamięci wypędzonych jest inny niż ten widziany oczami osiedlonych w nim „repatriantów”, wypędzonych z ich własnych domów na dawnym wschodzie Polski. Wreszcie jest inny w pamięci nas, patrzących nań z perspektywy — nawet jeśli zainteresowanego, to jednak tylko obserwatora. Bo któż z nas szukałby śladu butów, otrzepywanych codziennie na stopniach ganku, ile warstw farby pokryło ślady zdjęcia zmarłego stryja, jaki ślad pozostawiła po sobie bezлюдna wyspa z poduszek, skoro sypialnia rodziców była przez kolejne lata pokojem przesiedlonej z Polesia ciotki?

Poniemieckie domy dostały po wojnie nowe życie. Zasiedlający je ludzie przywieźli ze sobą swoje wspomnienia, swoją pamięć o domach ich dzieciństwa. Wchodząc do nowych — obcych mieszkań, domów, gospodarstw, odczuwali je jako obce, nie własne, dach nad głową, ale jedynie przejściowy, na chwilę, do dnia powrotu „na swoje”. Do domu. Ten dzień nie przyszedł i nigdy nie przyjdzie. Ich domy zostały zasiedlone przez kogoś innego. Dostały nowe życie, wypełniły je nowe historie. Rotacja uczuć, odczuć, historii, wspomnień. Coś co dziś jest moje, jutro jest cudze. Ale w moim odczuciu pozostaje moje na zawsze. Mój dom, mój sad, moja ławka w cieniu moich drzew. Mój pokój, moje skrzypiące schody — trzeci i siódmy od góry. To ja wiem, który ominąć, by nie usłyszeli mnie rozmawiający w kuchni rodzice. To ja wiem, gdzie usiąść, żeby mnie nie zauważyli, gdy podsłuchuję ich wieczorne rozmowy. Przybysz musi się tego najpierw nauczyć. Czy dom zdradzi mu moje tajemnice? Skoro nie ma mnie, ich właściciela? Skoro nie nastąpi prosta wymiana pokoleń, nie ma rozmowy pomiędzy sprzedawcą a kupcem, nie ma nikogo, kto opowie o sile i słabości domu?

Miałam szczęście poznać dziesiątki dawnych i obecnych właścicieli domów, które przechodziły z rąk do rąk w ciszy, w pustce. Domów, które z dnia na dzień, decyzją ludzi, którzy nigdy ich nie widzieli, nagle stały się niczyje, by chwilę później znowu stać się czyjeś. Ale tak na niby, nie do końca. Domów, które latami musiały przekonywać swoich nowych właścicieli do tego, by nazwali je swoimi. Domów szepczących co wieczór: „hej... ich już nie ma, pokochaj mnie... Zaopiekuj się mną...”

Lubię jeździć po poniemieckich terenach. Oglądam stare domy i zastanawiam się, co kryje się za ich murami. Czasem, jeżeli przed domem stoją starsi ludzie, zagaduję. „A państwo długo tu mieszkają?” „Długo.” „A Niemcy tu kiedyś byli?” „Byli”, „nie byli”... Młodych nie zagaduję. Młodzi są podejrzliwi. Niechętni do rozmowy. Zadają dużo pytań, chociaż przecież dobrze wiedzą, że nie stracą majątku. Znają swoje prawa. I trudno im zrozumieć, uwierzyć, że ktoś traci czas na zbieranie historii. Zresztą, najczęściej nawet nie wiedzą jak długo dom, w którym mieszkają, należy do rodziny, kto jako pierwszy osiedlił się na tym terenie. Dlaczego i skąd przyjechał, co zastał, czy było mu ciężko, jak wyglądał po wojnie ich dom. Czują się źle, bo ja chcę wiedzieć, a oni nie wpadli na po-

myśl, żeby takie pytania zadać, kiedy jeszcze był ktoś, kto potrafił na nie odpowiedzieć. Zainteresowanie rośnie w nich powoli. Trzeba czasu, żeby do nich dotrzeć. A jeżeli się już uda, sami szukają, badają, pytają, sprawdzają i piszą, dzwonią, cieszą się, że wiedzą i chcą wiedzieć więcej i więcej. Najważniejszy jest początek. Pierwszy kontakt. Lepiej go nie nawiązywać bez przygotowania.

Czasem zatrzymuję się przypadkiem w jakiejś miejscowości. Nazwa brzmi znajomo, a wiodąca przez wieś droga wygląda dokładnie tak, jak w zasłyszanej opowieści. Czyja to była historia? Berthy? Amalie? Johannes? To śmieszne, ale wszyscy ci starzy ludzie są w moim odczuciu dziećmi... Nie potrafię myśleć o nich inaczej niż tylko po imieniu i nie jest to brak szacunku. Wprost przeciwnie, odczuwam to jako wyraz szacunku do ich historii, do sposobu, w jaki ją opowiadają. Wiem! To była Eva! Chodziła tędy do szkoły. Latem i zimą na piechotę, dwa kilometry. A jej dom? Trzeci po lewej od strony Gorzowa. Wysiadam. Idę. Liczę. Raz, dwa... Nie ma. Ogromna, nowoczesna willa. Szkoda. Zaraz. To niemożliwe. Bo jeden i dwa też są nowe. Może przesunęły się granice wsi? Idę dalej. Ma być murowany, z czerwonej cegły, z dobudowanymi budynkami gospodarczymi i stajnią. Jest. Stajni nie ma. Ruina. Nie przetrwał. Połknęła go natura — sad i ogród wdarły się do środka. Nie jestem w stanie rozpoznać pomieszczeń, a przecież powinnam wiedzieć — tu pokój, tam sypialnia, kuchnia, spiżarnia, „gute Stube”... Zadzwoić do niej? Powiedzieć, że byłam, że widziałam, że nikt po nim nie chodzi? Że pustka. Że w najlepszym stanie jest... Nie, lepiej nie... W najlepszym stanie jest pamięć. Jej pamięć. Jadę dalej. Jeszcze znajdę inny.



# Siedlerhaus

ćwiczenie  
z rekonstrukcji  
pewnego  
wspomnienia

Wydaje mi się, że pamiętam go dobrze. Wiem jednak, że pamięć potrafi przechowywać nieostre, a czasem nieprawdziwe obrazy, albo obrazy prawdziwe, ale z nieprawdziwym opisem. Tym bardziej pamięć dziecka. Dlatego będę starał się wspominać ostrożnie.

To był ceglany dom z głęboką piwnicą. Dziś już nie jestem pewien jego koloru, choć wydaje mi się, że był czarny z czerwonym, spadzistym dachem. Gdzieś tam na dole stał piec węglowy, i gdzieś tam był schowek na ziemniaki. Pamiętam różnej wielkości słoiki z przetworami, ułożone na półkach rzędami, aż po sam sufit. Pamiętam też gołębnik na dachu i dwa pinczery, które jak na wyścigi zbiegały po schodach, zawsze gdy otwierało się drzwi do piwnicy. I jeszcze dźwięk psich łap, ślizgających się i uderzających o drewniane stopnie. I ten chłodny, wilgotny zapach zamkniętej przestrzeni, która mimo corocznych rytuałów wietrzenia, odkurzania, trzepania i szorowania w uporczywy sposób przechowuje ślad jakiejś nieznannej obecności. Dom musiał być piętrowy, bo pamiętam, że do pokoju, w którym pośród jasnej boazerii królował telewizor, wchodziło się po schodach. Przesiadywałem w nim chętnie, w ufnym poczuciu bezpieczeństwa i sytości, otoczony niebieskim, migającym światłem ekranu.

To był koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Pogodne dzieciństwo w małej miejscowości na Ziemiach Odzyskanych. W centrum miasta stał zamek cały z czerwonej cegły, a w nim wyeksponowana zbroja Krzyżaka. Pamiętam tę groźną postać. Często nachodziła mnie w dziecięcych snach.



**Mateusz Skóra**

W tamtym czasie, w przedszkolu uczyliśmy się rymowanki:

- Kto ty jesteś?
- Polak mały
- Jaki znak twój?
- Orzeł biały.
- Gdzie ty mieszkasz?
- Między swymi.
- Czym ta ziemia?
- Mą Ojczyzną.
- Czym zdobyta?
- Krwią i blizną.
- Czy ją kochasz?
- Kocham szczerze.
- A w co wierzysz?
- W Polskę wierzę!

Na zajęciach plastycznych z kawałka patyka i dwóch prostokątów białej i czerwonej krepki robiliśmy flagi. Okazało się, że kilka prac, w tym moja, niezupełnie spełnia zakładane oczekiwania. Pamiętam jedną z pań przedszkolank. Siedziała pochylona nad stosem dziecięcych proporczyków. Zniecierpliwionym ruchem odrywała fragmenty mokrej od kleju krepki. Potem łączyła je ponownie tym razem w sposób właściwy – biały kolor do góry, czerwony na dole. Pamiętam wyraźnie widok rozmiękłej bibuły i spływający po wszystkim biało czerwony kłajster. To była zapowiedź serii wielu podobnie absurdalnych, patriotycznych lekcji.

Dom! Gdy o nim pomyślę, to czuję zapach palonych jesienią liści. Widzę gołębie kołujące nad dachem. Ten dom porusza moją pamięcią. Jest matrycą, na której odbijam wspomnienia o szczęśliwym, beztroskim świecie.

Z czasem okaże, że podobnie wyglądających budynków jest wokół mnie znacznie więcej. W języku niemieckim nazywa się je Siedlerhaus - dom osadników lub dom osiedleniowy. Powstawały głównie w latach dwudziestych i trzydziestych na obszarze całej Republiki Weimarskiej, a potem III Rzeszy. Były to proste, ustandaryzowane konstrukcje budowane na obrzeżach miast. Tworzono je z myślą o osobach o niskich dochodach. Praktyczna i prosta architektura zapewniała mieszkańcom podstawowy poziom egzystencji, a budynki gospodarcze samowystarczalność.

Zawsze gdy jestem w podróży szukam ich wzrokiem. Wyłuskuję te moje Siedlerhausy z obcych pejzaży. Uruchamiają skomplikowaną grę wspomnień. Zastanawiam się wtedy, jakiego koloru przemalowano tam schody i czy na piętrze stoi telewizor? Raz zobaczyłem postać grabiącą przed domem liście. To był Siedlerhaus jak ten, który pamiętam z dzieciństwa. Być może nad dachem kołowały wtedy gołębie. Przez chwilę chciałem podejść bliżej, zapytać o piec węglowy, o półki w piwnicy, i czy mógłbym wejść na krótką chwilę do pokoju na piętrze? Ale szybko zrezygnowałem z tego szalonego pomysłu. Być może onieśmielił mnie brak dwóch pinczerów.



Zobacz pani do okna.

**Okno**



**Magdalena Wasilewska**

Tu mamy ogród. Tam jest stawek, są ryby, łabędzie. Jak zaczną liście opadać, robić się takie żółte, to jest tak pięknie. Jenoty były. One się wołały, takie dziwne odgłosy wydawały, bo one muszą być parami. Ale nie ma już ich. Za to dwa tygodnie temu widziałam lisa, pił sobie wodę z tego stawku, a dzisiaj sarenkę.

Miałam czereśnię w ogrodzie. Ptakom wieszałam na niej słoninę, cieniutką taką. I koty mi ją zjadły. Myślę któregoś dnia, a przypilnuję ją. Okna są w nocy poza-mykane, ale patrzę, co to tak lata już nad ranem. Kuna. Jak ona biegła, jak skakała i ten ogon latał. Zabrała mi sprytna słoninę. I zamieszkały kuny w pałacu.

Kiedyś się mnie ludzie pytają, czy ja tam nie widzę białej damy na białym koniu. A ja mówię: Tyle lat tu mieszkam i nic nie widzę. Bajka. Bajka chyba. Chociaż kiedyś opowiadali ludzie, co tu pracowali, że ponoć pięknie było. Alejki, róże. I taka pani, starsza już, teraz w Szczecinie mieszka, kiedyś zaprowadziła nas i pokazała tunel. Wszystkie kamieniami było wyłożone. Teraz zarosło. Podobno się tam chowali w czasie wojny. Kiedyś przyjechali, szukali jakichś kości, ale skąd oni byli, nie wiem. To musieli mordować chyba tu, a potem zakopywali. Ta pani opowiadała, że jej rodzice na służbie byli i pracowali u Niemca, zielenią się zajmowali. I na pewno są jakieś tunele, może się łączą pod pałacem. Takie opuszczone to wszystko. Przykro nam jest, że pałac niszczy, przykro.

Jak pałac opustoszał, to w tym górnym oknie sowa się pojawiła. Ja ją tam zawsze widziałam. Piękna była. Kiedy tylko popatrzyłam w górę, to ją widziałam. Lato, zima. Sowa jest taka, że ma swoje miejsce. Dla niej to akurat pasowało chyba. Ona zawsze tak na nas patrzyła. Jak wyszłam z domu, to mówię do niej: No jesteś! A ona siedziała i spoglądała. Spała też tam. Kolorowa była, żółta z brązem, a te oczy takie. Cały czas nas obserwowała i jak ładnie śpiewała. A ja z nią gadałam. Machałam do niej i ona nie uciekała. To zresztą wysoko. Myślę, że tak się stało, że ją to okno wtedy zabiło.

To przez tę burzę, co była u nas, że nawet w telewizji pokazywali. Trąba powietrzna szła. Powyrzucało wielkie drzewa stare koło kościoła i tu gdzieś przeszła, też tak cięła drzewa i w okna trafiło. Ja u siebie okna też trzymałam, bo się bałam, taki wir był, że mówię koniec, zginiemy. Pięć lat temu, w 2017 roku. Tyle tu szkód porobiło. Nagle noc, trąba powietrzna, dziesięć minut. Jeszcze do tego grad taki gruby padał i tak waliło w okna. A tam w pałacu deskami to okno było zabite i te deski wyrwało. Jak wyszłam, to zobaczyłam, że wyrwało to okno, w którym sowa zawsze siedziała. I chyba zniknęła z tym oknem, bo od tamtej pory nigdy już jej nie widziałam. Nie wiadomo, gdzie jest. Bo tam nikt nie był. Wcześniej to wszystko było oświetlone, ale potem to już tylko jedna lampa się świeciła. Teraz ciemno jest, światła tyle, co koło domu. Kiedyś pracownik z żoną poszedł tam na górę i słyszę, że rozmawiają. Wyszłam, słucham, a oni patrzą przez to okno. Pytam: A kto Wam tu pozwolił wejść? Ale do głowy mi nie przyszło, żeby o sowę zapytać. Ale gdzie, już prędzej by ją tam kuny zjadły. Sowy nie ma. Widocznie było przeznaczone, że ją razem z tym oknem zabrało.

# Wyprowadzka z Ogard

- Trzeba było dawno  
ten pałac sprzedać  
w cholerę  
- mówi pan Kamola.

- I wtedy  
by jeszcze sprzedali  
- dodaje Julia.

# mama

## Wyprowadzka Julii

Zawsze powtarzałam, że z Ogard nigdy się nie wyprowadzę. Teraz w Strzelcach dostaliśmy te komunalne mieszkania. Nie ma wyjścia, no co można zrobić. Szkoda. Może nie byłoby mi tak przykro się wyprowadzać, gdyby ktoś coś zrobił z tym pałacem, odrestaurował, może na jakieś sale ładne. Ale gdybym mogła go kupić, to nie mieszkałabym tu, ale zrobiłabym właśnie salę taką na wesela, a u góry pokoje. Naprawdę kiedyś się śmiałam, że nawet wesele bym chciała tu brać, tylko ta sala jest rozwalona, a miała potencjał. Taki piękny drewniany parkiet. A tutaj dach przecieka, leje się wszystko na ściany. Pamiętam, jak kiedyś do dużego pokoju woda lała się przez ścianę. Jedyne co robili, to rynny czyścili, bo musieli, no i kominy. Teraz to już chyba nikt nie jest tym zainteresowany.

Nawet jak mama chciała okna wymienić, to powiedzieli, że pod warunkiem, że wymienimy okna w całym pałacu, bo to jest zabytek. No ile można żyć, jak masz pół szyby w jednym okienku. Ja u siebie w pokoju na swoim oknie miałam koce na zimę. Kocem zakrywałam okno w łazience, szczególnie jak dzieciaki były małe. Jak nagrzałam wody, to zakrywałam, żeby ciepło nie uciekało i żeby woda zimna nie była. A jak mama chciała na własny koszt wymienić, to mówią: Można, ale wszędzie muszą być takie same i w całym budynku. No to jak? Mieliśmy się na wszystkie okna składać? Bo jak jeszcze każdy za siebie, to może by nie było problemu, ale te przejściowe, czy na salę, to dlaczego mielibyśmy?

O tym, że będziemy mieli mieszkania komunalne w Strzelcach, to się od paru ładnych lat mówiło, ale nie dochodziło do tego i nikt się za bardzo tym nie przejmował. Teraz wiemy już z pół roku. Cały czas mówię, że nie chcę. Człowiek jest przyzwyczajony do wioski, do swoich. A teraz wszyscy gdzie indziej są. Rozstrzelili nas. Znajdują komunalne mieszkania mniej więcej o takim samym metrażu, ale w różnych miejscach. Mieliliśmy tu około 90 m<sup>2</sup>. No ale tam szczelniej jest, ciepło. W końcu pewnie i tak bym się wyprowadziła, choć mieszkam tu od urodzenia. W dzieciństwie była tutaj Caritas i były sale na wesela. Były imprezy, dyskoteki. Tu było wesele mojego brata - to jedna mniejsza sala, wesele siostry - to ta większa sala. Tu są obrazy pani Krupińskiej, sąsiadki z dołu, przedszkolanką tu była. Pięknie malowała. Mojej siostry świętej pamięci mąż to jej wnuk. Przed pałacem mieliśmy ogródki i zawsze sobie na tych ogródkach siedzieliśmy albo tu na dole się bawiliśmy. Miałam piaskownicę, brat mi zrobił plac zabaw. Pamiętam jak czekałam na kolegę tutaj w piaskownicy i on przynosił mi kanapki. Do parku chodziłam, po tych polach, po drzewach się chodziło, pół dnia można było na drzewie przesiedzieć. Do tamtego budynku na górcie też potajemnie kiedyś z chłopakami z wioski chodziliśmy. Stare dokumenty po biurach PGR-u tam jeszcze były. Chodziliśmy na samą górę. Była przepiękna, taka drewniana, wychodziliśmy sobie przez okno na ten daszek i leżeliśmy tam sobie nad tarasem.

Na strychu się nie bawiliśmy, bo rodzice się bali. Podłoga tam się trochę ruszała. Raczej spaść nikt by nie spadł. Przechowywaliśmy tylko jakieś rzeczy, no i pranie tam się nosiło.

W pewnym momencie bardzo dużo nas było w domu, bo brat miał żonę i trójkę dzieci, czyli dziesiątka nas była. Teraz zostałam tu ja, tata i siostra z dziećmi. Mówiłam, że nie chciałam się wyprowadzić, jak mama żyła, ale odkąd mamy nie ma to jest całkiem inaczej.

Mama zmarła 9 lat temu, osiemnastu lat jeszcze nie miałam. Byłam przy tym. Spałam z mamą w sypialni. Taty nie było, bo pracował jako kierowca zawodowy i wyjeżdżał na długi czas - cztery tygodnie, trzy tygodnie - różnie. I ja wtedy spałam w pokoju z mamą, bo wzięliśmy też do siebie babcię, która oślepla i mama chciała ją mieć na oku. Tego dnia spałam w sypialni mamy i mama po prostu przestała oddychać. Odkładała książkę, pamiętam, którą czytała i chciała zgasić lampkę, i przestała się ruszać. 17 lat miałam. Jeszcze tyle, ile udało mi się zareagować, to przez tydzień mama leżała w szpitalu. Siostra mogła z Anglii przyjechać, żeby się pożegnać. Nie byłam wtedy tak wierząca jak mama, bo moja mama była katechetką, ale pamiętam, że się modliłam.

Stanęło jej serce. Po prostu stanęło jej serce. Nie czułam jej już potem w domu.

Dopiero wtedy zobaczyłam, i tu ukłon dla wszystkich mam, ile to jest roboty. My we dwie albo we trzy czasem nie ogarniałyśmy wszystkiego, co mama sama robiła. Przychodziłam ze szkoły, a już miałam gorący posiłek na stole. Jak do 16 nie zabrałam się na stopa ze szkoły, to dzwoniła, czy kogoś nie zorganizować z wioski, żeby po mnie przyjechał, bo się robiło ciemno i zimno. Ja wiem, że każdy mówi, że jego mama jest najlepsza i rozumiem, że dla każdego jego mama jest najlepsza.

Tacie trudno po mamie nawet słoiki wyrzucić. 9 lat już stoją.

# Zawsze zapominam gasić światło

(Wyprowadzka pana Kamoli)

Człowiek nauczony na wsi, to na wsi. Potem pójdzie nagle do miasta i co, po ulicach będzie chodził? Od sklepu do sklepu - to nie ma sensu. Inne zajęcie tu było. Teraz drugi miesiąc w mieście. Mam pokój, kuchnię, łazienkę. Odszykowali trochę, dziewczyny meble zrobiły, trochę kupiłem. I gaz założyli. I się mieszka. Przy banku, bo obok bank i katedra. Mówię, że jestem najbogatszy, bo mogę podkop zrobić. Ale człowiek ze wsi nie może się przystosować, bo to inny klimat jest po prostu. Tam inaczej ludzie żyją. Na wsi poszedł tu, potem poszedł komuś pomóc i tak czas zleciał. W mieście - wyszedł do sklepu albo do apteki, bo to do apteki teraz się więcej chodzi, i co jeszcze?

Słyszałem, że jakaś kobieta ma to wziąć teraz, ale co to mnie obchodzi. Tu było dobrze, bo tu pałac i park jest. Tak jak w Mierzęcinie można było zrobić, jakby konie jakieś były. A były, tylko wszystko skasowali, bo za to trzeba było płacić. Wszystko zmiotli. Uratowali ten magazyn zbożowy jeszcze. Trzydzieści lat mieszkałem tu z rodziną. A teraz wszystkie klamoty, wszystkie meble, trzeba było rozbierać i przez okno trzeba było wyrzucić. Ja tam w Strzelcach mam 34 metry, a tu jeden pokój miał 30 metrów. Meble duże, chciałem komuś dać. Nikt nie chce. Trzeba było je rozebrać i przez okno wyrzucić - na przyczepę i koniec.

To gminne - nie oplaca im się trzymać takiego budynku dla paru rodzin. Cały dół był teraz wolny, a trzeba było ogrzewać. Kiedyś na dole było przedszkole, z drugiej strony była klubokawiarnia i cały dół był zajęty i z tego zyski szły. A teraz przykładowo trzy rodziny zostaną, a przecież cały pałac trzeba ogrzewać. Utrzymać trzeba, to kosztuje. Ostatnią zimę to jeszcze tu mieszkaliśmy. Kotłownia jest, kiedyś paliłem ja, a później moja synowa. Że kobieta? Jak się jeździło na szkolenia, to tam trzydzieści procent kobiet było. Teraz piece są z podajnikami, to nie tak jak kiedyś. Ale tu ciężko ciepło utrzymać, bo jak okna nieszczelne, to ciepło ucieka. Te okna w 70. roku zakładali. Niemieckie były lepsze. Widzi pani, jakie to drewno siwe jest. Z takiego drzewa to zrobili, że okna się powypaczały. Z tamtej strony mieszkalem i jak z tamtej strony wiatr wiał, to mi było zimno. A jak z tej strony, to im było zimno. Nieszczelne okna są i wieje. Raz 15 stopni tylko miałem zimną. Ale wiatr też potrzebny jest. Kiedyś mówię: Panie burmistrzu trzeba by to jakoś zrobić. - Panie Józefie tu jest siedemdziesiąt okien, każde okno 2 tysiące kosztuje, bo podwójne muszą być. To zabytek, no to ile? 140 tysięcy, a jeszcze chcielibyście, żeby wam to wymalować.

No i tak zostało. Zmarło się burmistrzowi. Zabytek - to wszystko faktycznie musi być tak samo. Nawet jakby człowiek chciał, to nie może nic zrobić. Siedemdziesiąt - ja nie liczyłem, ale widocznie burmistrz liczył. Siedemdziesiąt okien po 2 tysiące to 140 tysięcy, a robocizna jeszcze. Mówię, że to będzie wyglądało jak tamten budynek - dopóki dach był dobry, to budynek stał, a potem wszystko poleciało. Najważniejszy jest dach, jak dachu nie ma, to później podłogi lecą. Dach trzeba zrobić. U mnie cieknęło w łazience. Tynki to takie prostokąty były wyciskane - przyjechali, zrównali. Jednak taki budynek utrzymać, to wie pani. Jak nikt nie weźmie, to będzie niszczało. I co zrobić, nic nie zrobimy.

A po wojnie to i więźniarki, i wojsko było. Na żniwa przyjeżdżali pracować, to też tu byli zakwaterowani. Na dole to nawet inkubatornia była. Kaczarnia, kaczki hodowali. I nie było zabytku wtedy i nie było żadnych ograniczeń.

Była robota, zajęcie - na wsi musi być jakieś zajęcie. Było też przedszkole i dzieci były pod opieką. Trzy córki, jednego syna miałem. Żona gospodynią była, po szkole gospodarstwa domowego w Strzelcach, znała się na wszystkim. I społecznie się udzielała, bo koło gospodyń w Ogardach było.

A teraz człowiek został sam. Przychodzą lata, człowiek zaczyna rdzewieć niestety. I człowiek się starzeje i zaczyna siadać. Dzieci poszły na swoje, trzeba było radzić po kawalersku. Sam gotowałem sobie. A tam w Strzelcach w rynku jest gospoda i oni mi przywożą obiady, bo nie ma sensu gotować na jedną osobę. 12 lat jestem sam. Żona zmarła, nowotwór piersi, przerzuty dostała, na to nie ma mocnych. Na pewno tam gdzieś z góry mnie wspierała, bo dawałem radę. Czuje się to. Pewnie, że się czuje. Ale brakuje, dziura się robi w życiorysie tak zwanym. A teraz cały majątek przez okno trzeba wyrzucać.

Często tutaj przyjeżdżam. Na cmentarz przyjeżdżam. Tego jednego, to drugiego się odwiedzi i dzień zleci. Zostałbym, bo człowiek się przyzwyczaja. Widzi pani to drzewo? Ono było cieniutkie, potem zrobiło się grubsze i rośnie tu, bo mu tu dobrze. Ten klon, co tu stoi, też był kiedyś patyczkiem. Korzenie puścił też ten dąb. I moje korzenie też tutaj.

## Nad Rehnitzsee

- Anno, znowu zostawiłaś swoje książki w altanie - z korytarza dobiega donośny, niski głos pani Oppeneheim.

Chwilę później matka stoi w drzwiach pokoju. Kładzie książki na stoliku przy wejściu i przyglądając się córce, rzuca krótko:

- Kolacja o 19:30.

Drzwi zamykają się. Firanki w pokoju Anny delikatnie porusza wiatr z południowego zachodu. Sierpniowe wieczory mają w sobie już coś z jesieni, choć dni, tak jak ten dzień, bywają jeszcze mocno upalne. Gdyby nie park i Rehnitzsee, można by skonać, prawie jak latem w Berlinie. Bo taki jest Berlin. Mimo wspaniałej zieleni i niezliczonych ścieżek w parkach, ogrodach i okolicznych lasach, latem po prostu można w nim umrzeć.

Prawie cały dzisiejszy dzień Anna spędziła nad jeziorem. Lubi je. I swój pokój z oknami wychodzącymi na park również. Po wyjściu matki, poprawia kok przed lustrem, przechodzi obok niezbyt wysokiego kwietnika gładząc delikatnie dłonią liść begonii i podchodzi do biurka. Przesuwając na blacie drewnianą figurkę słonia, przypomina sobie, że musi naprawić dno szuflady. Gwóźdź, który przedwczoraj wypadł, potoczył się gdzieś na podłogę. Zerka raz jeszcze w dół, ale podobnie jak wcześniej, nie może go dostrzec. Siada na krześle i sięga po listownik z zaczętą odpowiedzią do Barbary. Chce ją zaprosić do siebie, ale ogarnia ją smutek. To mogą być ostatnie wakacje w Rehnitz. Spogląda na zdjęcie wąsatego mężczyzny w ramce:

- Tak tatku, mama będzie musiała sprzedać pałac.

Anna Oppenheim, nosząca imię po matce, najpierw będzie przyjeżdżała tu na letnie miesiące, potem przeniesie się na stałe. Można przypuszczać, że spędzi tu najważniejsze momenty swojego życia. Zacznie się, kiedy ojciec Anny, Hugo Oppenheim, zdecyduje się w 1905 roku na zakup posiadłości Rehnitz w Nowej Marchii. Anna będzie miała wtedy 26 lat. Ojciec sfinansuje zakup z pieniędzy, które wypłaci mu Darmstädter Bank po przejęciu Warschauer Bank. W tym czasie majątek Rehnitz to 750 ha gruntów ornych, 300 ha lasu, 75 ha wody i 63 ha łąki. W następnych latach będzie trwała restrukturyzacja posiadłości i przebudowa dworu, którą Oppenheimowie zlecą architektowi Emanuelowi von Seidlowi. W 1921 roku w Rehnitz umrze Hugo, a w 1928 r. wdowa po nim - Anna, sprzeda dużą część majątku firmie osiedlowej Eigene Scholle. Rodzina zachowa dwór, las i jezioro. Po śmierci żony Hugo Oppenheima spadkobiercy sprzedadzą resztę majątku.

Annę budzi blask w pokoju. Ściana jaśniej. Anna nie rozumie, co się dzieje. Po chwili dociera do niej, że pali się. Wstaje, podchodzi do szyby i dostrzega łunę ognia poszatowaną sylwetkami budynków. Pożar. Dociera do niej, że ulicę dalej pali się synagoga.

Od powrotu z Renic do Berlina, miasto wydaje jej się niespokojne. Odniesienia propagandy do żydowskiego pochodzenia powodują narastający w społeczeństwie lęk. Anna nie może udawać, że nie widzi napisów na ścianach, czy co jakiś czas powybijanych szyb w sąsiednim sklepie tekstylnym. Przeczucie nadchodzącej katastrofy czuje już w Renicach w widoku jednolitych mundurów hitlerowskiej młodzieży, kiedy jedzie tam w odwiedziny po sprzedaży pałacu. Właśnie w tej chwili dochodzą do niej pokrzykiwania na klatce schodowej. "Alle Juden raus!" Patrzy na pomarańczowy kolor nocnego nieba za oknem i czuje, że jej ciało zaczyna drżeć. Za chwilę usłyszy kroki i walenie pięścią w drzwi.

W 1932 r. w Niemczech NSDAP odnosi sukces w wyborach parlamentarnych i staje się największą partią Reichstagu. 30 stycznia 1933 Adolf Hitler zostaje mianowany kanclerzem Niemiec, następnie przejmuje pełnię władzy, a w wyniku ogólnokrajowego referendum w 1934 r. mianuje się wodzem Niemiec. Władza scentralizowana zostaje w osobie Hitlera. Wzmaga się terror polityczny i inwigilacja. Rasizm, a szczególnie antysemityzm jest od teraz jedną z głównych cech reżimu niemieckiego. Hitlerjugend to młodzieżowa organizacja NSDAP skonstruowana na wzór paramilitarny. Jeden z ośrodków Hitlerjugend hitlerowcy zakładają w latach 30. w pałacu przejętym od rodziny Oppenheim.

Anna to najdłużej żyjąca córka Hugo i Anny Oppenheim. Przeżywa prześladowania podczas III Rzeszy, ale umiera z niedożywienia krótko po zakończeniu wojny.

“Kuba ma 15 lat, kiedy trafia do Renic. Od trzech lat mieszka w ośrodkach (...) Wie, czym ryzykuje. Ale nie chce dłużej żyć w takim potrzasku. Schodzi na kolację. Przy wszystkich pluje w twarz rządzącemu i uderza w nią z kolana. Robi się grubsza awantura, wychowawcy ich rozdzielają. Od tej chwili staje się wrogiem nr 1. Biją go i kopią każdego dnia (...) Ale jednego Kuba nie przewidział. Przychodzi posłaniec i mówi, że czekają na bardachu. Wchodzi, a tam dwunastu chłopaków. Jeden chwyta go za szyję, zaczyna dusić i wpycha do kabiny. Kuba się szarpie, ale ktoś trzyma mu ręce z tyłu, inny dociska twarz do ściany, inny kolaniem nogi. Kuba jest bez koszulki, tak się często chodzi w ośrodku. Czuje coś gorącego na plecach i smród przypalanej skóry. Własnej. Jeden przypieka go podgrzaną główką gwoździa. Punktowo. Przykładając i przytrzymując, jak znakuje się bydło. Drugi: kaczką – lufką zrobioną ze sreberka po serku topionym, którą nabija się tytoniem. Trzeci: papierosem. Któryś jeździ rozżarzonym gwoździem po skórze, robiąc fantazyjne linie. Tak Kuba czuje. Później zobaczy na zdjęciach: siedem poparzeń po gwoździach po lewej stronie pleców i sześć po papierosie po prawej. Jedna podłużna na dwa centymetry wygląda jak rana od noża. Cztery kręgi po kaczcze. Co najmniej pięć linii od gwoździa po 10-15 cm na całych plecach”.

W mieszczącym się w dawnym pałacu rodziny Oppenheim ośrodku wychowawczym, założonym zaraz po II wojnie światowej, miało dochodzić do przemocy. Według Wiadomości TVN 24/Pomorze z 6 i 7.09. 2021 r., w ciągu ostatnich lat prokuratura prowadziła 57 postępowań, 25 z nich zakończyło się aktami oskarżenia. 2.09.2021 r. portal “Wirtualna Polska” publikuje reportaż Anny Śmigulec “Władcy ciał i umysłów”, w którym czytamy: “Rządzą zasady z więzienia, wewnętrzny język i podział na normalnych i kiepów. Kiepy mają usługiwać normalnym (...) Są jak podludzie.” Miesiąc po opublikowaniu reportażu wszystkie dzieci z Renic zostają przeniesione do innych ośrodków, ten zaś ma być zamknięty. Prokuratura zaczyna badać umorzone bądź zamknięte sprawy. Resorty sprawiedliwości i zdrowia zapowiadają zmiany w prawie.

We wrześniu 2022 roku budynek stoi opuszczony. Na murze obok otwartej bramy wjazdowej wciąż wisi tabliczka “Młodzieżowy Ośrodek Wychowawczy Renice 9”. We wnętrzach widać jeszcze pozostawione przedmioty, tak jakby ktoś wyszedł tylko na chwilę.



## **Blisko ziemi**

Z okna dziecięcego pokoju widać cmentarz poniemiecki.  
Jest lato, kamienne tablice z obcymi nazwiskami pokrywa cień drzew i ukrywa mocno zielony, soczysty bluszcz.



**Patrycja Gurgul**

Dziewczynka myśli sobie, że ten cmentarz podoba jej się bardziej niż polski. Ten - jest dalej, zasłaniany przez stare lipy, rosnące w równych odległościach przy prowadzącej do niego drodze. Kiedy jeszcze go nie było - ludzi chowano przy tym wcześniejszym. Nie na, a przy. Po prawej stronie, już nie w lesie, lecz na skraju pola - widać inne groby. W Tarnowie mówi się, że leży tam rodzina - tata, mama i dziecko. Po wojnie brakowało jedzenia, ludzie zbierali grzyby. Te grzyby ich zabiły.

Babcia mówi: a po co to łaźić po cmentarzu! To to te ludzie takie ciekawskie są. To jest miejsce spoczynku, uważaj dziecko, zaraz nadepniesz. Nie można deptać po grobach, nawet niemieckich.

Pod koniec października zaczynają opadać żółte, lekko złote lipowe liście, w listopadzie odsłaniają się powoli czarne drzewa. Z góry lepiej widać, z tego okna - na pierwszym piętrze ostatniego domu w wiosce - dziewczynka widzi w dole wąską asfaltową drogę w kierunku Sosen, lipową aleję, samotne polskie groby, a po prawej - bezkresne pole. Idzie z babcią na cmentarz, zapalić znicz na grobie Pawlaków. 20 lat później, przejeżdżając obok ich domu, w którym już nie będzie dachu, a sam jego szkielet, babcia powie:

Pawlaki tu byli pierwsi przed nami. Nie mieli żadnego aktu własności, nic, nic. Tak siedzieli, nikt ich nie wyrzucał. Teraz jak córka ten ich dom chciała sprzedać - to się nie dało, gmina sprzedała. Oni od razu po wojnie przyjechali, z Tarnopola. I Ukraińcy, jak zaczęli rządzić - to Pawlakowa mi opowiadała - oni stamtąd po prostu uciekli. Uciekli, bo tamci w biały dzień przychodzili, wyciągali ludzi, dzieci, kobity, co kogo popadło. Siekierą głowę obcięli, albo ręce poucinali, szpadlem, mówiła, zabili. Ale udało im się uciec stamtąd. Bo inaczej to by nie żyli. Tylko w tańki te ciuchy, co na siebie. I wszystko zostawili, i uciekli. Ja mówię - niech będzie bida, niech będzie cokolwiek, byle jakiejś wojny nie było, żeby nie napadali ludzi, żeby to nie żyło się pod strachem.

Dziewczynka, stawiając znicz na podwójnym grobie, wspomina, że pani Pawlakowa, ich sąsiadka, zawsze miała usta pomalowane czerwoną szminką. Herbatę podawała w szklankach z metalowym koszykiem. Trochę się kleiły, a ciastka na stole często były te same, co tydzień wcześniej. Pan Pawlak siedział w ganku przed domem i rozłupywał orzechy, patrząc przed siebie - widział wiejską drogę i stawek sąsiada. Mieszkańcy Tarnowa mieli ogródki kwiatowe, warzywne, niektórzy - mniejsze lub większe pola uprawne. Zbierali nie tylko orzechy, ale i śliwki, które rosły przy płotach, papierówki z działek przy lesie, dziki bez, jagody grzyby - cały rok coś było. Jedni sprzedawali swoje ziemniaki, inni jajka, mleko w kankach. Wymieniali się między sobą tym, co dawała ziemia. Przyjechali tutaj z różnych stron, w różnym czasie. W Tarnowie nie było pałacu, dworów. Były domy, do których ludzie weszli i zamieszkali. Pani Pawlakowa, po śmierci męża, często przychodziła do babci na kawę, a zostawała na obiedzie. Babcia trochę się denerwowała, bo miała sporo pracy, ale potem znalazła sposób - siadały razem w letniej kuchni. Tam babcia w międzyczasie obierała warzywa, układała sadzonki roślin, wekowała słoiki z przetworami na zimę. W ten sposób czuła, że nie traci czasu.

Babcia Tomira i dziadek Józek byli piątymi polskimi właścicielami domu. Kupili go w 1971 roku, od rodziny Skupień. W tamtym czasie trudno już było o dom. Wujek Rysiek – szwagier babci, który mieszkał już w Gorzowie Wielkopolskim – dał znać, że są do kupienia dwie „gospodarki”. Okazja. Trzeba jechać, trzeba się dorabiać – mówi babcia, dodając:

Myśmy przyjechali z centrali. To kiedyś był powiat płocki, województwo warszawskie. Teraz to mazowieckie. Tato przepisał mi ziemię pod Bromierzykiem, hektar osiemdziesiąt. Jak wyjeżdżaliśmy to w Bromierzyku prądu jeszcze nie było, tylko studnie. W Tarnowie, to jak kanalizację zakładali, kazali polikwidować studnie, a ja mówię: mowy nie ma. Studnia musi być. A co to kto wie, co będzie? A jak człowiek ma studnię, trochę tej ziemi, ogródka, warzywko jakieś – to zawsze przeżyje.

Jeden Bromierzyk istnieje nadal, drugi – już nie. Ten pierwszy, w którym mieszkała babcia, ma obecnie około 260 mieszkańców. Po tym drugim, nazywanym przez mieszkańców babcinego: Bromierzyk – Wieś, pozostały resztki fundamentów, sosnowy las i przyprawiające o ciarki legendy przekazywane z pokolenia na pokolenie. Babcia także opowiada podobne historie o starym Bromierzyku – Wsi.

To tam gdzie pałac za czasów dziedziców był. W pałacu Rościszewski mieszkał. Dziedzic. Tato mój u niego pracował. Tato Stefan urodził się w 1900 r. W wieku sześciu lat został sierotą, ojciec mu zmarł. Matka sama musiała się dziećmi zajmować, a te dzieci musiały pracować. Mój tato, jak miał trzynaście lat, to już chodził drewno rąbał na rozpałkę do pieców kaflowych w tym pałacu, u dziedzica. A jak osiemnaście skończył to mu się udało – woźnicą został, nie pracował na polach ciężko, tylko woził dziedzica końmi. Taką karocą, co to w sześć koni zaprzężone, a wszystkie poubierane ładnie. Miał tam siedzenia, jak w tych filmach starych, wszystko zadaszone, z okienkami. A na polach się zdarzało - tato nam opowiadał - że czasem to i batem ludzi bili.

Majątek w Bromierzyku – Wsi nie był jednak pałacem, a ziemiańskim dworem należącym do zamożnej rodziny szlacheckiej Rościszewskich. W 1939 r., po przyłączeniu płockich ziem do Rzeszy, zostali wygnani przez Niemców ze swoich domów i włości. Kolejno, w ramach tzw. reformy rolnej w Polsce Ludowej – ich ziemskie majątki zostały rozparcelowane. Babcia Tomira pamięta ten czas: Bromierzyk – powstał tak, że jak się skończyły czasy dziedziców to rozdzielili ziemię między gospodarzy. Babcia moja Marianna - z dziadkiem Wiśniewskim – osiem hektarów dostali i musieli się sami budować. Z roku na rok stawiali ludzie domy. Babci Wiśniewskiej dom stawiali z gliny, kryty słomą, stawiał go babci syn. Potem drewniane ludzie budowali, murowane, jak kogo stać było i tak powstała wioska. Po środku - polna droga publiczna. Domy budowano pośrodku działek, z jednej i z drugiej strony drogi. W dwie linie – jedna po jednej stronie, druga po drugiej. Do dzisiaj tak tam jest. Nie kto gdzie chciał, tylko na środku, w linii.

Ziemie nie były spokojne.

Babcia miała dwa lata, gdy skończyła się wojna. W domu opowiadało się dzieciom o tych czasach. Najstarszą siostrę babci - rodzina wywiozła w inne regiony kraju - gdy dowiedzieli się o tym, że okupanci zabierają dzieci do Niemiec. Jednemu z członków rodziny, który miał konie, Niemcy rozkazali te konie przygotować do drogi. Wyjechali kilka wiosek dalej. Tam - inny Polak, który był na miejscu - ostrzegł go, że Niemcy chcą go zabić, by nie opowiadał o ich kradzieży. Uciekł do lasu, mówił potem o tym zdarzeniu: latarkami świecili, szukali, koło mnie przechodzili, a ja w krzakach takich wielkich schowany, ale nie wiem, jak oni mnie nie zobaczyli. Przeżyłem. Las był miejscem ukrycia, przetrwania albo śmierci. Gdy wkroczyli Rosjanie - najczęściej też wychodzili z lasu, głodni. Zabierali nawet ziemniaki, które kobiety gotowały dla świń. Gdy tylko dowiedzieli się, że ktoś w czasie wojny współpracował z Niemcami - wyciągali go z domu, zabijali na podwórku. Nie strzelali w domu. Kazali wyjść.

Gdy wkroczyli Rosjanie - najczęściej też wychodzili z lasu, głodni. Zabierali nawet ziemniaki, które kobiety gotowały dla świń. Gdy tylko dowiedzieli się, że ktoś w czasie wojny współpracował z Niemcami - wyciągali go z domu, zabijali na podwórku. Nie strzelali w domu. Kazali wyjść.

Ziemie nie były spokojne.

Do dziś krążą opowieści, że Bromierzyk jest nawiedzony, nazywa się go nawet najbardziej nawiedzoną wsią w Polsce lub też - wsią wisielców. Podobno, kiedy ktoś chciał skończyć ze swoim życiem, wybierał lasy właśnie w tamtej okolicy. W lasach ukrywano się przed Niemcami, potem przed Sowieciami. Pod koniec października liście robiły się żółto-brązowe, a z początkiem listopada - drzewa stawały się czarne.

Agdy przyszedł maj to się chodziło do Matki Bożej, do figurki - opowiada babcia - bo w Bromierzyku nie było kościoła. Ludzie w maju śpiewali pieśni, litanie. A do krzyża - chodzili w czerwcu. Krzyż był zawsze ogrodzony, ładnie ubrany.

W Bromierzyku - Wsi krzyż stał na rozdrożu. W tej wsi, gdzie pałac dziedzica był. Tato opowiadał, że tam cuda się działy, koło krzyża w nocy jakieś świetliki latały. Cuda mówili. Ja wiem? To chyba nie cuda, to chyba duchy. U nas w Bromierzyku nie było tego, tylko tam, gdzie pałac był. Gdy tata był woźnicą to nocowali w stodole - słyszeli oni jakby się belki zawały, deski wyrywały, słycać było bardzo głośno, chcieli uciekać stamtąd, ale się uspokoiło. Tato opowiadał jeszcze - jak wracał późno do domu, o jedenastej w nocy to dwa psy - duże jak cielaki - zastawiły mu drogę i obydwie tańczyły. Raz z zabawy wracał, jak kawalerem był, osiemnaście lat pokończone. Potanćówki wtedy we wioskach były. Wracał między polami, ścieżką polną - i tam kamień taki duży był na ścieżce, przy bocznicę. Na tym kamieniu - siedzi babcia, w chustce owiązana, na czarno cała. Widział, że to starsza kobieta. Podszedł blisko do tej babci, a ona mówi: mój ty kochany, zawiąż sznurówki mi u buta, bo nie mogę się schylić. Tato się schylił do buta, a to mu wszystko znikło sprzed oczu. Znikła ta babcia. Tak go strach objął, że do domu biegiem leciał i się oglądał. Już wiedział, że to nie był żywy człowiek. Straszli ludzi, nie wiem, czy to byli zmarli, czy to były przestrogi. Nie wiem jak to nazwać, ale było takie coś.

Pokój dziewczynki jest na pierwszym piętrze domu. Aby dostać się do niego – trzeba przejść przez strych - drewnianymi schodami, pomalowanymi farbą olejną na pomarańczowo. Nie jest to przyjemne, na strychu jest zimno, a na schodach trzeba zgasić światło zanim wejdzie się do pokoju. Wbiega więc na górę po schodach, otwiera drzwi do korytarzyka, zapala światło, zbiega po schodach, gasi światło na schodach, wbiega do góry i szybko zamyka za sobą drzwi. Boi się tej ciemności i zimna ze strychu, jest tam wyczuwalna jakaś nieznaną jej energia. Nad nią, na belkach, są niemieckie napisy. Gdy już dociera do pokoju – jest spokojna. Nad meblami ma ustawioną tzw. „gazetkę” z tekstem: Witamy jesień. „Gazetka”, czyli tablica – podobna do tych w szkole – zmienia się w zależności od pory roku, świąt, ważnych dat. Teraz są na niej żółte lipowe liście. Kolejno pojawią się zimowe bałwanki, sylwestrowe dekoracje, potem wielkanocne. Na wsi żyje się blisko natury i blisko ziemi. Wyznacza czas i powtarza cykle. Teraz jest listopad. Zbliża się wszystkich świąt, cmentarz rozświetli się zniczami. Ludzie będą często przechodzić obok domu dziewczynki, by odwiedzić groby. Na cmentarzu poniemieckim wraz z babcią ona też zapali znicz – ku pamięci tym, którzy tu spoczywają. Może to i Niemcy, ale przecież to też ludzie byli.

A przyjeżdżali tu tacy Niemcy oglądać. Że tu niby ich babka mieszkała. A ja mówię: to chyba ze sto lat temu. Teraz to już nie przyjeżdżają, wymarli. A młodych to nie interesuje, co tu było. Babcia ma rację, może sto lat temu, a pewnie i więcej. Kiedyś w Tarnowie była huta szkła, założona w 1707 r., funkcjonowała przez około osiemdziesiąt lat. Ludzie opowiadali, że znajdowali jeszcze czasem szkło w lesie, na spacerach. Kiedy babcia i dziadek wraz z synami wprowadzili się do swojego domu w Tarnowie, na początku mieszkali tam razem z rodziną Skupień. Dostali szybko ta rodzina wyprowadziła się, otrzymawszy końcową ratę zapłaty za dom. Babcia nie wspomina ich zbyt dobrze, opowiada, że w spiżarni trzymali króliki, a w szafach dzieci rozrzuciły żołędzie:

- Skupinka nie dbała o dom, kiecę poderwała na wioskę i cały dzień jej nie było. Ani obiadu tym dzieciom, ani nic.
- Babciu, a może to przez tymczasowość, oni tu już czwarcy byli, przed nimi też ktoś był przez te dwadzieścia lat, może ludzie nie dbali, bo nie wiedzieli czy tu zostaną?
- A może, były niepewne czasy, a może myśleli – po co to tu robić, jak zaraz nam każą wyjeżdżać?

Ale wiesz, dziecko, to zależy dużo od ludzi, którzy mieszkają.

Ludzie żyli blisko ziemi. Wczesną jesienią, gdy z nieba księżyc dawał mocne, białe światło i rozświetlał noc – mówiło się: byle przymrozków nie było, bo grzybów nie będzie. Koło cmentarza przechodziło się, by dojść na tzw. tarnowskie „Huby”, gdzie rosły kanie, inaczej - sowy. Wykopywane były w owym czasie ostatnie marchewki z ogródków, mężczyźni rąbali drewno, wrzucali węgiel do piwnic, a kobiety zbierały jabłka, chowały sadzonki kwiatów i nasiona na przyszły rok. Co niedzielę – wyznaczona była inna rodzina do posprzątania kościoła, który wyznaczał centrum wioski. W Bromierzyku – Wsi był dwór i święte figury na rozdrożach. W Tarnowie była wieś, nie było pałacu, nie było dworu. Są domy, jest kościół i dwa cmentarze.

Polacy mają groby osobno, przy polu. Nikt nie przenosił ich grobów, gdy powstawały cmentarze polskie. Polacy nie chcieli mieć wspólnych cmentarzy z Niemcami, ale też nie dokonywali zniszczeń. Może z przestrogi i legend – bali się zmarłych? Może wierzyli w zjawy? Może bali się lasu, takiego jak las wisielców w Bromierzyku? A może tej nieznannej energii ze strychów, gdzie widniały niemieckie napisy? Sami, pochodząc z różnych stron – czuli, niektórzy tylko podświadomie, że ten dom też kiedyś był czyjś. Cmentarz był czyjś. I cała przestrzeń. Niekiedy się nie rozmawiało o tym, czasem to czuło. W wioskach wieczorami czas spędzano wspólnie, opowiadano sobie historie, z pokolenia na pokolenie, trochę o żywych, trochę o umarłych, trochę prawdy, trochę plotek, trochę dla rozrywki, trochę dla nauki i przemyśleń:

Moja babcia Marianna opowiadała, że miała stryjka. I stryjek ten był bardzo mądry, jedyny całą podstawówkę skończył, książki czytał. I babcia Marianna opowiadała mi, jak czytał taką grubą księgę, biblia ją nazywali. I tam było - żywi zmarłym będą zazdrościć, będą takie czasy, że on umarł i ma spokój, a ja się muszę męczyć. I było, że właśnie taka nienawiść będzie. Syn na ojca, córka na matkę, matka na córkę, że będą w rodzinie nienawiści, pomiędzy ludźmi. Będą kradzieże, rozboje. No popatrz, wszystko się sprawdza. To mojej babci stryjek czytał, to już chyba z piąte pokolenie. Ale patrz kto to napisał? Skąd to miał taką wiedzę? Nazywali ją biblia, ale nie wiem, co to za książka była.

Na strychu też były książki. Dziewczynka, przechodząc przez strych nocą – czuje niepokój. W dzień jednak – zainteresowanie i ekscytację tym miejscem. Będąc na górze schodów – nie wbiega do korytarzyka, by zapalić światło, ale skręca w prawo. Na wprost znajduje się dwurzędowe, stare okno, pokryte lekko odchodzącą już białą farbą. Po prawej – komin, w którym wędzone są swojskie szynki, takie owinięte sznurkiem, który ściąga się przed pokrojeniem. Jeszcze dalej, w głębi – panoszą się dumnie stare sprzęty - „przydasie”, a przejście dalej – blokują zimowe, grube kurtki. Najbardziej intrygująca jest jednak część poddaszowa, na lewo od zejścia ze schodów. Tam stoją kartony z książkami. Niektóre trafią do dziecięcego pokoju. Zwłaszcza te pachnące papierem jak z biblioteki, z notatkami, dopiskami, rysunkami, a przede wszystkim - zagiętymi kartkami i liśćmi pomiędzy stronami.



Czyta, a z okna pokoju widać cmentarz poniemiecki.  
Teraz jest listopad. Zbliża się wszystkich świętych, cmen-  
tarz rozświetli się zniczami. Ludzie będą często prze-  
chodzić obok domu dziewczynki, by odwiedzić groby.



# Użytkownicy czasoprzestrzeni

Od końca

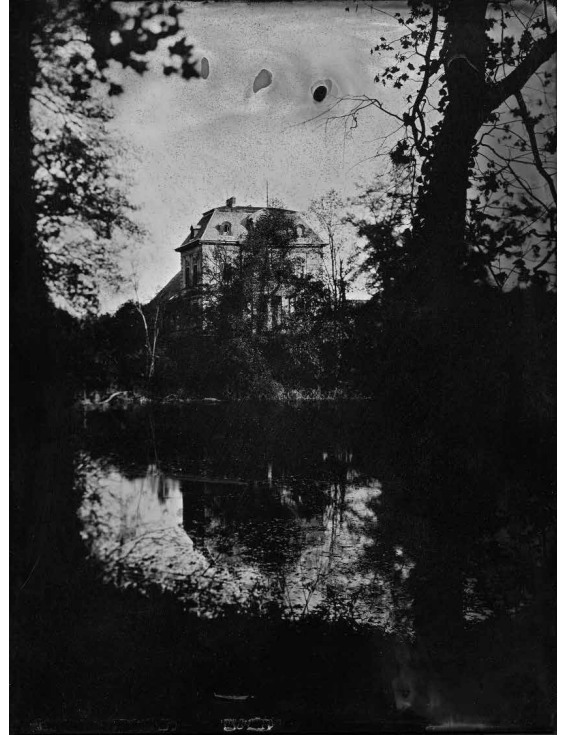
W dużym pokoju wielorodzinnego parterowego domu przy-  
porządkowanego do okazałego pałacu nie ma dostępu do internetu.  
Wychodzę na bosaka przed dom, aby pobrać aplikację na potrzeby  
nagrania rozmowy. Pobieram i patrzę, ale nie na telefon. Patrzę na  
wprost. Widzę typowy budynek gospodarczy, wybudowany w latach  
siedemdziesiątych, o dziwnym i niepasującym kolorze. Teraz, pisząc  
ten tekst, już wiem dlaczego ten kolor, ale to potem. Po prawej trzy  
kondygnacyjny pałac z mansardowym dachem i oknami. Okna też ja-  
kieś dziwne. Poprzecinane pionowo i poziomo stalowymi płaskowni-  
kami. Teraz wiem dlaczego stalowe i poprzecinane, ale to też potem.  
Aplikacja pobrana. Wszystkie instalki przerobiły dane i proponują,  
aby nagranie nazywało się „Strzelecka”. Domyślam się, że chodzi o ulicę.  
Kiedyś dojazd pałacowy. Aby na nią wjechać trzeba mieć szczęście.  
Choćby takie: ktoś zapomni zamknąć i brama będzie otwarta. Można  
mieć też pilota. Gdy będzie zamknięta z informacją: obcym wstęp za-  
broniony. Trzeba nacisnąć odpowiedni przycisk i brama się otworzy.  
Można też poprosić o otwarcie córkę Pani Anny i Zbyszka Wolan,  
z którymi jestem umówiony na rozmowę. Ja miałem szczęście.



**Tomasz Hołyński**

## Przy stole

W mieszkaniu Państwa Wolan siadamy przy stole w dużym pokoju z dużymi oknami. Siadam na wprost okien. Za oknami zielono, ta zieleń to drzewa pałacowe otaczające staw. Staw jest poniżej i w drugim planie. Wiem, bo byłem tam i też jesienią, ale trzy lata temu. Zrobiliśmy wtedy w technice mokrego kolodionu wielkoformatowe naświetlenie sąsiadującego tuż obok pałacu.



Wracam do stołu. Będę przy nim rozmawiać dwie godziny i trzynaście minut. Gdy minie jedna godzina i dwadzieścia osiem minut Pani Ania zapyta: Widział Pan ten stawek przez okno? Jesienią, te liście to wie Pan? Teraz są zielone, ale tam są takie drzewa po prawej stronie, one się zrobią czerwone. Jest tak piękny widok. Był tu taki Pan, to się tak zachwycał.

Wracam do stołu. Na stole Szyfro Krzyżówki oraz pilot do telewizora. Umieszczony w centralnym punkcie segmentu meblowego śpiewa piosenkę: „Wielka Miłość”. Ja teraz też ją sobie śpiewam, tak dla siebie, więc nie słyszycie. Pan Zbyszek powoli i spokojnie bierze pilota do ręki i wyłącza telewizor, abyśmy mogli porozmawiać. Telewizor przestaje śpiewać i ja też. Pytam: Długo tu mieszkacie? Pani Ania odpowiada: - W Bobrówku mieszkamy czterdzieści sześć lat. Dopytuję: Tutaj ile mieszkacie? Słyszę: -Tutaj mieszkamy czterdzieści lat, a sześć lat na blokach.

Jest rok 1982, w Polsce jest stan wojenny. Polska drużyna piłkarska zdobywa brązowy medal na Mistrzostwach Świata w Hiszpanii, a ja wyjeżdżam na swój pierwszy obóz harcerski do Łąkomina pod Gorzowem. Państwo Wolan zaczynają pracę w Zakładzie Rolniczym Bobrówko. Ona jest zootechnikiem, a on specjalistą do spraw eksploatacji. Po latach pracy zostaje zastępcą dyrektora, a potem już dyrektorem. Nie pracujący już dyrektor spokojnym i trochę zmęczonym głosem mówi: „Tutaj były biura zakładu rolnego należącego do Kombinatu PGR Tuczno - do niego wchodziły takie zakłady jak Bobrówko, Tuczno, Ogardy, Gilów i Machary. Ciężka to praca była, praktycznie całodobowa. Cały Zakład Bobrówko miał trzy tysiące hektarów, poza tym bardzo dużo było inwentarza, krowy mleczne. Do pracy miałem dwadzieścia metrów”.

Pan Zbyszek Wolan choruje, ale ma szczęście i oparcie w rodzinie. Od czasu do czasu spokojnym krokiem wychodzi, aby zapalić dość szybkiego papierosa. W tym czasie dowiaduję się o jego problemach, ale tych zdrowotnych, o których trudno się rozmawia. Słyszę też o sukcesach. Ostatniej udanej operacji, która miała tylko pięć procent szans.

Zbyszek Wolan wrócił, usiadł i powiedział: W tym pałacu, kiedyś to było więzienie dla kobiet. Mówię: To widać po tych oknach w mansardach i tych dziwnych stalowych płaskownikach.

Dochodzimy wspólnie do wniosku, że Kombinat powstał w latach pięćdziesiątych, więc więzienie funkcjonowało zaraz po wojnie. Wracam do stołu. Na stole babka piaskowa i zapach. Zapach kawy. Kawy sypanej zalanej wrzątkiem w przezroczystej szklance. Nazywanej „po arabsku” lub „zalewajka”. W jej smaku, kiedy zamkniesz oczy, możesz dostrzec ducha czasu. Czasu Polski ustrojowo innej, tutaj w Bobrówku ciężko pracującej, ale też wesołej i przyjaznej. Popijam kawę. Czasami w rozmowach następuje cisza, taka jak ta teraz. Chwilę się zastanawiam i tak trochę dla ciągłości rozmowy pytam: Jak Wam się tu żyło? Szczęśliwi tu byliście?

Pani Ania zaczyna od: Wesołe życie było. Wesela się odbywały. Stołówka była. Pani Bracik bardzo dobre pierogi robiła. Teraz niby wszystko jest, ale człowiek nie jest zadowolony. W ludziach taka nienawiść jest. Nie wiem. Każdy jest dla siebie.

Pojawia się lekki uśmiech na twarzy Pana Zbyszka Wolana. Ten uśmiech zdradza, ale też mówi. Powoli i spokojnie: - Był bar w środku wioski. Ciekawy bar. To też było potrzebne. Do dziesiątej wieczorem był czynny, te pijoki nie chciały wyjść, ta co sprzątała - ścierkę i ich po głowie. Lekki uśmiech już nie mówi ale na jego twarzy zostaje. Mam pewną satysfakcję, że nasza rozmowa sprawia mu przyjemność. Będziemy jeszcze tak rozmawiać jedną godzinę, trzydzieści minut

i dziewięć sekund. Jeszcze będę dopytywał o pracę i życie w tamtym czasie. Dowiem się, że każdy pracownik miał do dyspozycji nieodpłatnie mleko i trzydzieści arów ziemi na potrzeby ziemniaka. Dodatkowo była możliwość korzystania ze Stołówki Pałacowej. To w niej szykowano potrawy pod imprezy. Najczęściej to były wesela, ale rok do roku był też Sylwester i Dożynki Wiejskie.

Gorąco mi się zrobiło. W czasie naszej rozmowy gospodyni uraczyła mnie herbatą z cytryną. Sweter mam grubaśny, błękitny, z górskim widokiem. Ściągam. Potem mi się przyda jak będę przed gankiem rozmawiał z panią Anią o kotach i Hiszpanie. Chwilowe zamieszanie wykorzystuje Zbyszek Wolan. Z dyrektorskim charakterem przejmuje prowadzenie rozmowy. Dopytuje o Danków. Jako Sołtys mówię o nowym ujęciu wody.

Wyjaśniam, że Mauzoleum rodziny Von Brand zostanie wpisane do rejestrów zabytków.

Przenoszę temat rozmowy na Bobrówko i pytam: Pamiętacie jakieś zdarzenie, które zapadło Wam w pamięć? Co powiem? - tak często zaczyna mój rozmówca - Ten pałac zaczął się palić. Był pożar. Ten, co palił w kotłowni, trochę za mocno hajcował i jakaś cegła wypadła. Ciągnęło ogniem już na parter. Tak się złożyło, że z drogi na górze ktoś zauważył. Myślał, że lampki się palą, bo grudzień był. Przyszedł i mówi: żeście choinki nie zgasili. Tu w pałacu mieszkali ludzie, oni z góry zaczęli krzyczeć. Myśmy drzwi wyważyli i ugasiliśmy. Czym gasiliście? Wodą, wiadrami. Ludzie pomagali. Wszyscy, którzy tu mieszkali - dodaje pani Ania.

Przychodzi moment, kiedy należy kończyć rozmowę. Tak na koniec, z lekkim oddechem i zastanowieniem, zapytam: pamiętając o tym wszystkim, co czujecie, patrząc teraz na ten pałac? Szkoda nam, bo się niszczy. Sam dach. Pan zobaczy, same dziury. Bardzo szkoda tego kominka. Piękny był. Przyszli w nocy od tyłu. Stukali i wynosili. Nie spaliśmy, słyszeliśmy. No ale co zrobisz? - pyta pani Ania. Zaraz potem dodając: Dyrektor to powinien w willi mieszkać, a nie w tej ziemiance. Jak był kierownikiem to czterdzieści pięć łazienek zrobił, a naszą dopiero teraz my zrobiliśmy. A Pan Zbyszek w swoim stylu: Oj, Panie. A ja od siebie: Widocznie dobrym dyrektorem był.

## **Duńczyk, Hiszpan i Faliceta**

W drewnianym ganku ubieram buty. Czarne wygodne martensy wymagają czasu. Myślę, że amerykański listonosz, dla którego ten but został zaprojektowany, nie wchodzi do domu z listem. Dnia by mu nie starczyło. A może wchodzi, tylko że w butach. Ja wychodzę. Jest chwila po zachodzie słońca. Niebo nabierze dynamiki. Błękit robi się niebieski. Zaraz potem przejdzie w granat, przygniatając swym ciężarem dzień. Półmrok szybko zapada się w czasie. W tym czasie pani Ania wskaże na okna pałacowe i wyjaśni: Tu, gdzie te okienka na dole, była suszarnia i pralnia. Tu jest jedna sala, a tam druga sala. Tu jedli, a tam tańczyli. Powyżej były gościnne pokoje. Mieszkała przedszkolanka. Z drugiej strony Grzesiecki. Dwa ostatnie okna to męża biuro było, a to obok to sekretariat. Tam dalej jest długi korytarz, tam na prawo i lewo biura były. Z wolna krokiem, tak jakbyśmy stali, ale szli, przesuwamy się dalej. Nagle dynamicznym głosem moja przewodniczka powie: A to jest kolor hiszpański! Tu kiedyś była stajnia, ale teraz jest trochę poprzerabiana.

Tutaj stop.

Niech pani Ania stoi i patrzy na kolor hiszpański. Wracam do pięćdziesiątej dziewiątej minuty i pięćdziesiątej piątej sekundy. Siedzimy przy stole. Pytam: kiedy zakończył działalność Kombinat Rolny nie było jakieś pomysłu na funkcjonowanie tego miejsca? Małżeństwo Wolan wspólnie na przemian wyjaśnia: Agencja Rolna dała w dzierżawę Strzelczykowi, ale on sobie nie radził. Duńczykowi to tylko na ziemi zależało. Hiszpan dobrze planował. Dał zatrudnienie wszystkim pracownikom. Planował w Strzelcach dla nas postawić mieszkania. Nastawiał się na bydło. Hiszpan to był starszy majątny Pan. Uwierzył ludziom. Powierzył prowadzącemu polakowi. Tak doprowadzili Hiszpana, że z torbami poszedł. I tak, to widzi Pan, jest. Powiedział na koniec Zbyszek Wolan.

Pani Ania dalej patrzy na kolor hiszpański. Dodam od siebie: To taka jasna bycza krew. Powie mi jeszcze, że obok była obora i że tam gdzie była waga, obecny właściciel Pan Faliceta zrobił biura. Że stara się i coś robi. Że kiedyś myślał o pałacu, ale teraz już nie. Pani Ania już nie patrzy kolor hiszpański. Patrzy na koty. Zapyta: Jak tu nie lubić takich kotów? To jest ich matka. U nas był czarny kocur. On zginął. Między kocurami jest wojna. Kocury nawet małe koty zagryzają. Pytam: a kotki? Odpowiada: kotki muszą być, to ich praca. A ten, to przybłąda, ale już się nimi bawi. Ja lubię koty, one teraz czekają, aby dać im jeść. Wyciągam dłoń i z lekkim uśmiechem mówię: jak trzeba, to trzeba dać. Do widzenia. Słyszę: do widzenia i zapraszam.

## **Trochę wcześniej**

Zanim Margrabia Otton w 1371 roku nadał w lenno braciom Henningowi i Fryderykowi Blumecke swoją ojcowiznę w Blumenfelde oraz owiniętą wokół ogromnego głazu ziemię to Wasalem tych dóbr był rycerz Anton von Gurgul. Ziemia ta, morenowa, lekko falista, o kolorze szarym przekazywana chłopom i obrabiana, jest największym źródłem bogactw tamtych czasów. Dobra te w ilości pięciu łanów należały do Antona Von Gurgul i nazwano je Breiter Stein – Szeroki Kamień. Anton von Gurgul, jako rycerz Joannitów, walczył i przeżył pierwszą krucjatę z jedenastego wieku do Ziemi Świętej. Jako krzyżowiec wierzył, że jego podróż i walka, oprócz chwały da mu i jego rodzinie życie wieczne. Krucjata dla niego była też poznaniem zupełnie innego świata. To w nim od swoich greckich sprzymierzeńców, ale też saraceńskich przeciwników, poznał umiejętności wykorzystania kamienia w budowaniu twierdz i zamków. Z tą wiedzą, ale też z nowymi planami, powrócił na swoje dobra do Breiter Stein.

Oparty o drewniany ociosany kawałek drewna, który spełnia funkcje konstrukcyjną, stoi w najwyższym punkcie swojego grodu. Stoi, myśli i patrzy. Nie widzi czworaków, w których zamieszka Zbyszek Wolan. Widzi po lewej przylegający do dolnej palisady staw. Ten sam staw, który podziwiałem przez okno Pani Ani i Zbyszka Wolan. Na wprost przed sobą ma bogaty drzewostan, ale dalej i powyżej. Poniżej dolny dziedziniec z palisadą. Po prawej i też powyżej otwarte uprawne moreny. Wyostrożając wzrok, można tam dostrzec Szeroki Kamień, który dzisiaj nazywa się Leżący Słoń. Przy jego południowej stronie wiedzie trakt prowadzący do palisady dolnego dziedzińca grodu. Tam przechodzi przez bramę. Przedziera się pomiędzy garnizonem, a zwierzętami i idzie do góry do mostu. Mając szczęście i opuszczony most rozleje się podstawie cytadeli Antona von Gurgul. To tam jest jego donżon. Zwyczajowo usytuowany na ręcznie wykonanym kopcu. Otoczony rowem z wodą z pobliskiego stawu jest cytadelą i domem.

Oparty o drewniany ociosany kawałek drewna, dalej patrzy i myśli.

Widzi górną drewnianą palisadę. Nawet trwale ze sobą połączona, z przerywnikiem na zwodzony most, nie jest najlepszym rozwiązaniem obronnym. Planuje kamienne mury z basztami. Widział takie baszty w czasie wyprawy krzyżowej. Pamięta jak z pionowymi otworami strzelniczymi rozszerzonymi do wewnątrz zbierały żniwa śmierci wśród krzyżowców w trakcie oblężenia Antiochii. Jego donżon jest drewniany. Już wie, że aby przetrwać, tu musi być murowany z narożnymi okrągłymi wieżami. Czuje dziwną niezrozumiałą tymczasowość. Aura niepokoju wypełnia jego myśli. Patrząc na oddalony Breiter Stein myślał, że największe zagrożenie to kulty pogańskie, do których jeszcze nie dotarła chrystianizacja. Wtedy nawet by nie pomyślał, że jego dobra przejmą Askańczycy z niemieckiej Branderburgii.

Było przedwiośnie. Zgnilizna ziemi unosiła się powietrzu. Czekano słońca i Wielkiej Nocy. Z zamyślenia wyrwała go studnia usytuowana w dolnym dziedzińcu, zanurzona w głębinie ziemi. Pracowała i skupiała wokół siebie. Dawała życie. Na prawo od studni, z drugiej strony traktu, na lekkim uniesieniu zwracał uwagę zakotwiczony dębowy krzyż. Owinięty w biały welon przypominał o zbliżającej się Wigilii Wielkanocnej. Welon smukły, mokry przylegał do drewna, odciskał słoje i sęki. Z każdym dniem postu deszcze zbierały co silniej. Zwierzęta pochowane i dziwnie niespokojnie, oddawały dźwięki dla ludzkiego ucha jeszcze nie znane. Traktem od Leżącego Słonia coraz silniej napiera woda. Woda w przylegającym stawie przybiera. Kopiec jest stożkiem utworzonym przez człowieka, w jego szczycie stoi napierający swoim ciężarem donżon. Wraz z napływem wody moment statyczny zostanie przekroczony. Woda życie daje, ale też zabiera. Nikt nie przeżył.

Koszyk duży, wypełniony tym, co najważniejsze na domowym stole, stawiam po lewej stronie przed ołtarzem dankowskiego kościoła. Świecenie potraw to jakieś piętnaście minut. Dobrze i nie dobrze. Biorąc pod uwagę temperaturę, to dobrze, bo przed kościołem jest cieplej niż w kościele. Jeden koszyk jest bez potraw, to koszyk księdza. Trzeba dać za przysługę. To, co trzeba, zrobiliśmy. Wychodzimy powoli. Co jakiś czas napotkamy wzrok. Wtedy delikatnie się uśmiechamy, pochylając głowę. Zdarzy się, że powiemy dzień dobry. Nie wracamy do domu. Udajemy się na Głaz Leżący Słoń. Stawiamy koszyk tak, aby się nie przewrócił. Towarzy-szy nam wiosenne słońce i zimowy wiatr. Stukamy się jajkami, jemy chleb. Jest ciasto, sery i kiełbasa od kolegi rolnika. Wódka też jest poświęcona. Wypijam kielicha tak, aby połowę wylać na ziemię.



Stoję na kamieniu i wsiadam do windy. Windy czasoprzestrzennej.  
Winda jedzie w dół, zagłębiając się w warstwach czasu i przestrzeni.

Może jednak niech to zrobią archeolodzy, a ja zostanę na kamieniu. Głaz Leżący Słoń, położony w pobliżu Bobrówka, badany był w dniach 1-6 czerwca 2009 roku przez ekspedycję 12 studentów archeologii z Uniwersytetu Wrocławskiego pod kierunkiem doktora hab. Tomasza Gralaka. Podczas badań założono wykop sondażowy o szerokości od 0.4 do 2 metrów. Od wschodniej strony kamienia, poniżej wielowarstwowego bruku, uchwycono warstwę kilkucentymetrowej próchnicy stanowiącej pozostałości zniszczonego obiektu archeologicznego. Stratygraficzny układ wskazał, iż nowożytny wkop zniszczył niemal całkowicie wcześniejsze nawarstwienia.

Stoję dalej na kamieniu i myślę sobie, że szkoda.

Ale jednak coś mamy. Słuchajmy dalej: W trakcie badań znaleziono kilka krzemieni noszących ślady obróbki, datowanych na środkową epokę kamienia, to jest okres mezolitu przypadający na VII – V tysiąclecie przed naszą erą. Znaleziono 29 fragmentów ceramiki kultury łużyckiej datowanych na okres od około 700 do 500 lat przed naszą erą. Znaleziono fragmenty naczyń intensywnie czerwonych, kilkudziesięciu obrobionych krzemieni bez kontekstu czasowego oraz fragmenty polepy, czyli spieczonej gliny, która pierwotnie pokrywała elementy konstrukcji drewnianej.

Stoję na kamieniu dalej. Czasami się położę. Chodzę, po długości ma 7.90 metra. Obchodzę dookoła i wchodzę na górę. Tu będzie miał 1,2 metra wysokości. Trudno mi w nim dostrzec leżącego słonia. Ja dzisiaj w nim widzę łódkę z uszkodzonym odwróconym dnem. Te uszkodzenia to nieudane próby rozbicia. Nawiercenia, dynamity, itd. Przyjdzie czas i nasz dzisiejszy kamień będą nazywać: Wręby Łódki, a miejscowość – oni, przyszli użytkownicy nazwą Wrębołódka. Wcześniej nazwali go szeroki kamień, co z niemieckiego brzmi: Breiter Stein. Tak też nazwali, oni, poprzednicy, pobliską osadę wraz pałacem, z tym że „r” zamienili na „n”, tworząc jedno słowo: Breitenstein. Zanim Breitenstein stanie się Bobrówkiem, ostatni pałacowi użytkownicy - rodzina von Abercron organizuje ewakuację. W dniu 28.01.1945 roku uchodzą przed Rosjanami, zabierając ze sobą część mieszkańców. Pozostali użytkownicy tego miejsca kończą tragicznie, 34 z nich zostanie zabitych, a 6 popełni samobójstwo.

Leżę na kamieniu, obejmuję go lewą i prawą ręką. Zastanawiam się, ilu użytkowników miał nowożytny obiekt archeologiczny. Gdyby go nie było, ile byłoby znalezisk potwierdzających bytowanie wielu innych czasowo przestrzennych użytkowników. Może wśród nich byłby, a może nie byłby, Anton von Gurgul. Część z tych użytkowników z pewnością miała szczęście i zapisała się na kartach historii. Część z nich skończyła tragicznie, a część przeżyła w niezauważalnym spokoju. A może gdyby nie ten obiekt archeologiczny, odkrylibyśmy inny, taki całkiem inny. I jeszcze jest zasadnicze pytanie o kamień. Jak oni, ci ówcześni użytkownicy, go nazwali?

Tekst ten dedykuje Antonowi von Gurgul,  
czyli Antoniemu Hołyńskiemu i Patrycji Gurgul



**Miejsce**

jako człowiek zawsze szukam miejsca które da mi poczucie bezpieczeństwa i napelni  
mnie siłą do dalszego działania  
może to być drzewo w lesie które mogę objąć do którego mogę się przytulić i czerpać  
z tego radość i spokój  
może to być stary kawałek muru który daje siłę swoim wiekiem, dostojnością i trwaniem  
może to być widok na pola widok na góry na coś co mnie zainspiruje jako człowieka  
przestrzeń która mnie zapłodni uspokoi  
może to być ziemia którą mogę wziąć w dłonie  
którą mogę rozetrzeć  
którą mogę powąchać  
mogą to być łany zboża  
wysokie trawy które mogę delikatnie muskać dłonią i czerpać życie z roślin  
może to być rzeka  
może to być strumień gdzie zatapiam swoją rękę i czuję jak przepływa przeze mnie jej  
siła jej niezatrzymana energia  
może to być woda w jeziorze która jest stała  
która trwa  
która ma moc i siłę  
wtedy pojmuje skąd jestem  
jakie jest moje miejsce we wszechświecie  
dokąd zmierzam  
dowiaduje się czegoś o sobie  
co po mnie zostanie  
jakie myśli  
jakie słowa  
jakie czyny  
jakiś  
ślad?



**Piotr Jankowski**

Rozumienie przestrzeni  
może odbywać się  
na różnych poziomach.  
Przestrzeń odczuwamy.  
Często mimochodem.  
Szeroką gamą zmysłów  
- widzimy jej kolory, grę światła,  
obcujemy z jej fakturą, a nawet...

ją słyszymy.



**Ela Korsak**  
**Kuba Jankowiak**



Jeśli chcesz posłuchać utworu  
- zeskanuj kod QR.

Trumpet

oktober

♩ = 72

kuba jankowiak

**intro**

A-7 C#o A-7 C#o A-7 C#o A-7 C#o

**A**

9 C6 C#o D-maj7 C#o D-7 Eb7 Eo

19 C6 C#o D-maj7 C#o D-7 Eb7 Eo

**B**

26 Eo **bridge** 5

**C**

39 C6 C#o D-maj7 C#o D-7 Eb7 Eo

49 C6 C#o D-maj7 C#o

53 D-7 Eb7 Eo

**D**

59 C6 C#o D-maj7 C#o D-7 Eb7 Eo

**B**

69 rit.





**Marcin Szrót / Michał Zieliński**

Prawa autorskie do tekstów zamieszczonych  
w tym wydaniu przysługują ich autorom  
© by Stowarzyszenie Szeroki Kąt Widzenia  
Opieka redakcyjna: Patrycja Gurgul  
Opracowanie graficzne: Paulina Wojnik  
Koordynacja: Michał Zieliński, Tomasz Hołyński

Wydanie I  
2022

ISBN  
978-83-66361-26-6



BB-PL  
INTERREG V A  
2014-2020



Euroregion  
PRO EUROPA VIADRINA

„Redukować bariery - wspólnie wykorzystywać silne strony”  
„Barrieren reduzieren - gemeinsame Stärken nutzen”

Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego  
Budżet państwa

Europäischer Fonds für regionale Entwicklung  
Staatshaushalt der RP



Unia Europejska  
Europäische Union